

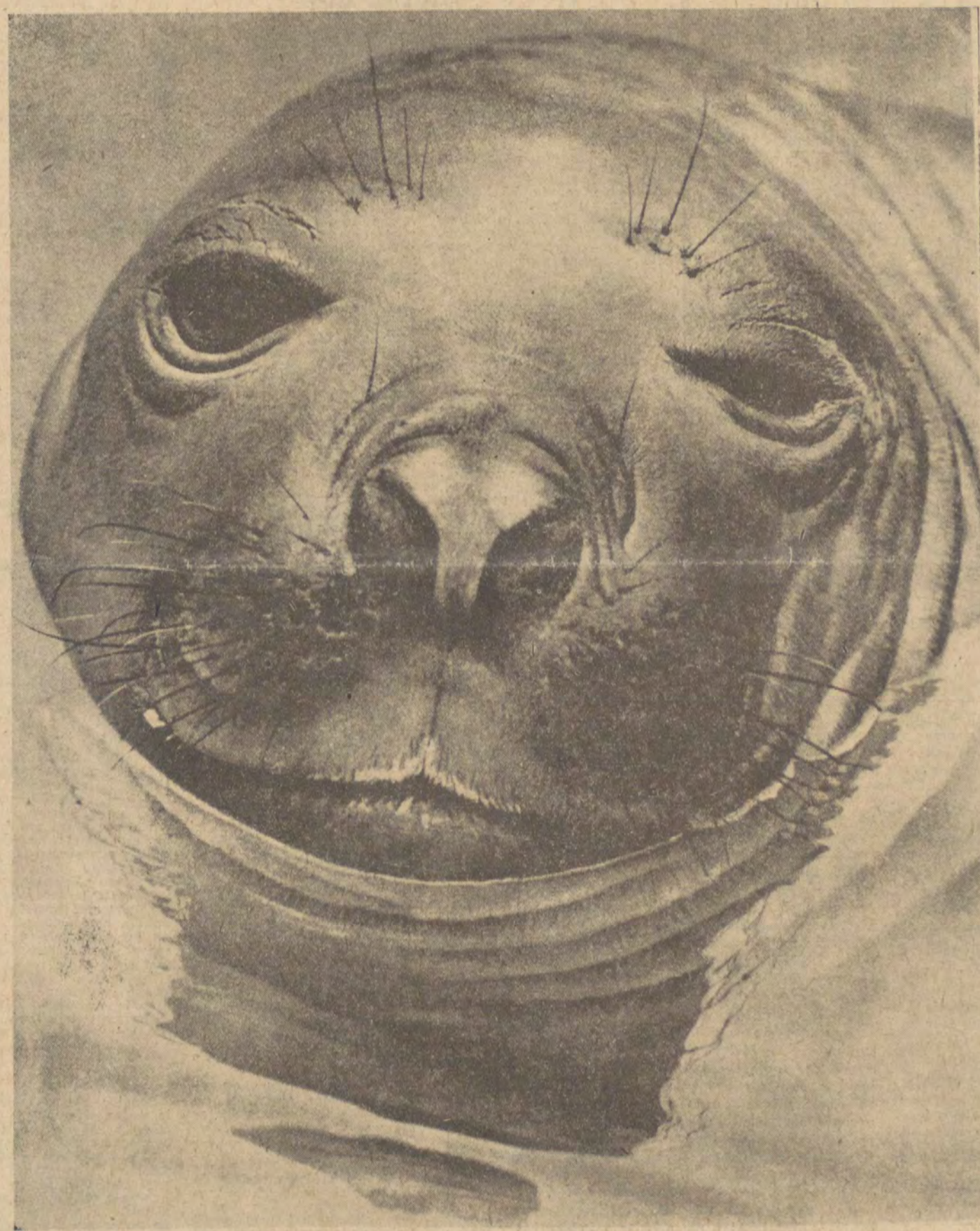
Dziś w numerze: Ochotnicy made in USA • Historia heroiczna • Śmierć przyszła przy zdjęciu 313 • Humor z egzaminów wstępnych • „Chopinem” do Mozarta • Europa przegrała • Recenzje • Felietony • Polonica

odgłosy



Nr 30 (392)
31. VII. 1966 r.
10 stron
Cena 1 zł

TYGODNIK SPOŁECZNO-KULTURALNY ROK IX



JULIAN BRYSZ

Stółówka kontra „garnek dworski”

Obserwuję kolejkę kupujących w bufecie fabrycznym ZPW im. Barlickiego. Co chwila pada sakramentalne:

— Bulkę i 10 deko kielbasy proszę!

Bulka wędruje do kieszeni brudnego fartucha, kielbasa w garści, bez opakowania. I już następna klientka pędzi z powrotem do maszyny, którą zostawiła na moment pod opieką koleżanki. Gdy do lady dociera mężczyzna, dawka zazwyczaj się podwaja: dwie bulki i ćwierć kilo kielbasy!

Dwie zmiany dziennie, korzystające z bufetu fabrycznego, licza około 1400 osób. Codzienna sprzedaż bułek w bufecie — około 900 sztuk. Zatem częściej, niż co drugi członek załogi załatwia swoje potrzeby konsumpcyjne w czasie pracy tym samym sposobem: opaść suchą bulkę z kielbasą. Podobnych zresztą wniosków dostarcza analiza sytuacji w ZPB im. Marchlewskiego i, jak sadzę, mogłaby dostarczyć obserwacja każdego z zakładów łódzkich.

Wszystkie próby zmiany profilu odżywiania z eóry skazane są na niepowodzenie. Nie chwycił dotychczas żaden z pomysłów w rodzaju „tanich śniadań” dostarczanych na stanowiska prac. czy „treściwych zup”, bądź wzbogacenia repertuaru bufetów artykułami garmazeryjnymi, itp. Wciąż króluje bulka z kielbasą. I to jest właśnie do dzisiaj najpopularniejsza forma „żywienia zbiorowego” w zakładach prac. Ale, z tytułu sadzac, mowa miała być o stołówkach. Oddźmy więc na dalszy moment tłumaczenie sensu tej dygresji wstępnej. Sama się później wyjaśni.

Każdemu wiadomo, że obok normalnych restauracji, istnieje w naszym kraju drugi system żywienia zbiorowego — stołówki pracownicze. Stołówki te, w założeniu swym zaliczane były do tego samego rodzaju zdobyczy ustrojowych, co wczasy, bezpłatne lecznictwo i inne, podobne przywileje.

Rzut oka na sytuację anno 1966 doprowadza nas do zaskakującego wniosku: robotnik łódzki niemal zupełnie z owej zdobyczy nie korzysta. Oto bare liczb, które mogą wprawić w osłupienie niejednego z

Dalszy ciąg na str. 5

JERZY
URBANKIEWICZ

Dzień X nadchodzi

Ilekróć przedmiotem publikacji lub konferencji stają się miejskie problemy komunikacyjne, tylekróć pojawia się tabelka ilustrująca komunika-

cyjne zasoby miast w taki oto sposób:

Warszawa ma 883 wozy tramwajowe, gdy
Łódź ma ich 806.

Z powyższego wynikałoby, że sytuacja Łodzi w porównaniu z sytuacją Warszawy nie jest wcale zła. Wynikałoby — zgodnie z zasadą, że fałszywe wnioski wynikały z fałszywych przesłanek. Z 806 wozów tramwajowych kursujących rze koma w Łodzi, 300 zaspokaja potrzeby komunikacyjne Pabianic, Zgierza, Ozorkowa, Aleksandrowa, Konstantynowa, Lutomińska, Rzeowa i Tuszyna, a tylko 500 służy miastu Łodzi — zresztą przed wojną owe 300 wagonów stanowiło odrębne przedsiębiorstwo pod nazwą

Łódzkie Elektryczne Koleje Dojazdowe, gdy tabor miejski należał do Kolei Elektrycznej Łódzkiej. Owe nominalnie łódzkie 300 wozów pełnią tę rolę, jaką w Warszawie grają PKP i EKD. Bowiem komunikacje na przykład pomiędzy Warszawa Zachodnią a Wschodnią — a więc po średnicy wielkiej Warszawy załatwiała PKP w sposób o wiele sprawniejszy niżby to mogła zrobić komunikacja miejska.

Wobec powyższego tabelka zrodna z prawdą przedstawi ilościowy stosunek tramwajowych wozów warszawskich do łódzkich jak 883 do 500. Liczby te jeszcze nie dość dosadnie charakteryzują problem, należałoby w nich bowiem dokonać podziału według typów wozów i wieku. Otóż najnowocześniejszym, najbardziej pojemnym i najszybszym tramwajem jest obecnie tramwaj typu 13N, Warszawa ma takich 300, Łódź ani jednego. Za to Łódź

ma około połowy swego stanu, tj. około 250 wagonów, które pamiętają przedwojenne czasy, niektóre zaś z nich są rówieśnikami przewrotu majowego. Henryk Całka w referacie: „Zamierzenia przemysłu w zakresie produkcji tramwajów” pisze: „...najwyższy wskaźnik zatłoczenia w skali naszego kraju występuje w Warszawie”. Autor nie przytoczył źródła tego twierdzenia. Ponieważ jednak pasażerowie łódzcy zostawiają wolne miejsca tylko na dachach i buforach, sadzić należy, że płaszczyzny te są systematycznie wykorzystywane w stolicy. Toteż z tegoż referatu dowiadujemy się, że: „Ze względu na wspomniane wyżej największe zatłoczenie tramwajów w Warszawie oraz na reprezentacyjny charakter stolicy naszego kraju, zdecydowano, że w pierwszym etapie tabor nowoczesny będzie dostarczony tylko do Warsza-

13N w Warszawie. Różnica pomiędzy przeważającym w Łodzi wagonem typu N a 13N jest choćby taka, że wagon typu N ma 83 miejsc, a wagon typu 13N — 115 miejsc, że więc 300 wagonów 13N stanowi odpowiednik około 400 wagonów N.

O wiele bliższa stanu rzeczywistości jest tabela przedstawiająca ilość autobusów kursujących po ulicach interesujących nas miast. A więc stolica ma ich 999, Łódź 140. Stosunek 7:1. Stosunek ten, choć tak nie zwykły, jeszcze nie wyjaśnia wszystkiego. Kursują po ulicach naszych miast autobusy typu „Chausson”, „Jelcz”, „Ikarus” i „San”. Otóż komunikacja stolicy dysponuje „Chaussonami” w ilości 282 sztuki. W jednym z referatów przytoczonego wyżej zbioru²⁾ znajdujemy następują-

Dalszy ciąg na str. 4



Jubileusz Państwa Polskiego, na którego kulminację złożyły się: uroczysta sesja Sejmu PRL oraz wspaniała defilada wojskowa i pochod młodzieży, odbił się szerokim echem w świecie. Dał temu wyraz sekretarz generalny ONZ - U Thant, przekazując z tej okazji charge d'affaires PRL specjalne oświadczenie.

"Jestem zadowolony - czytamy w tym oświadczeniu - że Tysiąclecie Polski daje okazję do przesłania życzeń i gratulacji rządowi i narodowi tego dumnego i starego kraju".

Uroczystości 22 Lipca spowodowały liczne publikacje o Polsce w prasie zagranicznej. Przypomniano w nich przede wszystkim działania Polski na rzecz utrwalenia pokoju i liczne, służące temu celowi, nasze inicjatywy. Raz jeszcze mieliśmy możliwość przekonać się, jak wysoko się prestiż i znaczenie PRL na scenie międzynarodowej.

Weszliśmy bowiem - jak przypominał Władysław Gomułka na wspomnianej wyżej sesji - "w skład wielkiej wspólnoty państw, których polityka, siła materialna i autorytet moralny są ostoją dla wszystkich, kto na naszym globie toczy sprawiedliwą walkę..."

Taka walkę prowadzi obecnie naród wietnamski. Tym trudniejszą, że imperializm amerykański zaangażował swoją nowoczesną technikę, aby zdławić ruch narodowo-wyzwoleńczy.

Barbarzyńskie poczynania USA w Indochinach budzą wiele obaw o losy świata. Stąd niezmiernie Wietnam utrzymuje się w orbicie światowego zainteresowania, a my powracamy do zagadnienia w komentarzach.

Tym razem chciałbym zwrócić uwagę Czytelników przede wszystkim na reakcję ONZ na eskalację działań wojennych. Zbliżyła się przecież termin kolejnej, XXI sesji Zgromadzenia Ogólnego. Dotychczas organizacja pozostaje raczej bezczynną wobec konfliktu. A co będzie dalej?

Krażą pogłoski, że sprawa wpłynie na porządek dnia sesji, ponieważ z bliżej niesprecyzowanymi zamiarami podniesienia problemu nosi się India. Z tego też względu panuje w Nowym Jorku przekonanie, że nadchodząca sesja będzie jedną z ważniejszych w ciągu ostatnich lat.

Z problemem wietnamskim łączy się również przyszłość U Thanta. Do chwili przygotowania komentarza do druku nie wypowiedział się on jeszcze, czy będzie ponownie kandydo-

wał. Sądźmy, że tak, chociaż w prasie zachodniej kolportowane są pogłoski o możliwości ustąpienia. Balon próbnym, czy utajone życzenie niektórych kół? - trudno przewidzieć.

Wzrastające niezadowolenie w Stanach Zjednoczonych z ich coraz pełniejszego zaangażowania się w Wietnamie znalazło wyraz m. in. w artykule "New York Times", w którym zajęto się analizą sytuacji personalnej w Departamencie Stanu. Piszą, że ludzie z amerykańskiego MSZ "są zmęczeni i brak im pomysłów" autor artykułu atakuje Ruską za to, iż "nie tyle kształtuje politykę, ile usiłuje do stosować świat do polityki amerykańskiej, zwłaszcza w Wietnamie". Zdaniem piszącego - druga w kolejności osobistość, podsekretarz stanu Ball, który zresztą we wrześniu ustępuje z zajmowanego stanowiska, od lat "dyktownie manifestuje niezgodę z wietnamską polityką rządu".

Odnosząc ten fakt, ponieważ nie pierwszy już raz chce się stworzyć wrażenie, że to właśnie Rusk w pierwszej kolejności odpowiedzialny jest za Wietnam. Czyżby administracja, w związku z wyborami do Kongresu, chciała znaleźć w osobie Ruska "klapę bezpieczeństwa" dla siebie?

Trudno wykluczać taką możliwość wobec braku rezultatów militarnych USA i niepowodzeń kampanii zastraszania.

(Ani milion żołnierzy, ani tysiąc samolotów, ani perspektywa 5, 10 czy 15 lat wojny - mówił w apelu do narodu prez. Ho Chi Minh, odpowiadając na bombardowanie przedmieść Hanoi i Hajfonu - nigdy nie zastraszą narodu wietnamskiego).

I jeszcze jedno znamienne domieszczenie agencyjne - tym razem z Niemiec i Republiki Federalnej. Otóż instytut badania opinii publicznej opublikował ostatnio rezultaty ankiety, z której wynika, że tylko 26 proc. ludności Niemiec zachodnich popiera politykę amerykańską w Wietnamie. Również 26 proc. nie ma sądu w tej sprawie, a 48 proc. opowiada się przeciwko niej.

Jak widać - nawet w NRF Waszyngton nie znajduje wielu entuzjastów swoich poczynani.

W Bonn przebywał z roboczą wizytą prezydent Francji - de Gaulle. Tematem kolejnych rozmów z Erhardem i innymi politykami NRF były: status żołnierzy francuskich w Niemczech zachodnich i problemy wspólnego rynku, a także obecny rozwój wydarzeń w Świecie.

Wizyta, jak wygląda się, niczego nie rozstrzygnęła, poza uzgodnieniem zasad pozostania wojsk francuskich w NRF. W dalszym ciągu, by posłużyć się słowami "La Croix", "Francuzi i Niemcy odmiennie oceniają widoki na odprężenie między Wschodem i Zachodem".

W. SŁAWSKI

TKRONIKA TYGODNIA

NIEDZIELA

Ogromne obszary Stanów Zjednoczonych objęły krwawe rozruchy rasowe: ich centrum tym razem znalazło się na północy, w Cleveland.

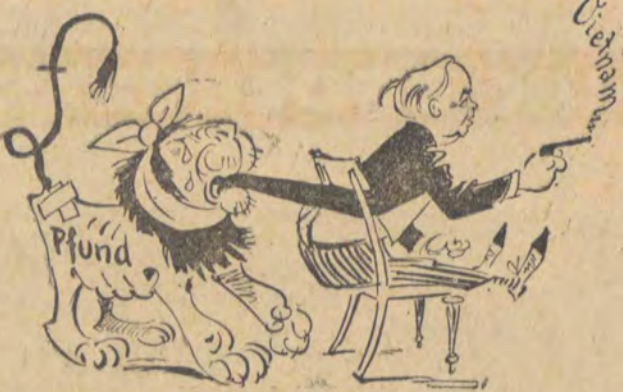
List do redakcji tygodnika Newsweek.

"De Gaulle czyni więcej niż ktokolwiek inny, by zbliżyć

W Pekinie czystka dotarła i do klubów sportowych: Chang Ching-chi, wybitny działacz sportowy, został oskarżony o "antypartyjną, gangsterską działalność".

PONIEDZIAŁEK

Jak osłodzić gorzki smak podróży de Gaulle'a do Moskwy? Amerykanie próbują różnych sposobów. Jednym z nich jest kartkowanie podrezników historii.



Trudno mi się skupić...

do siebie narody Wschodu i Zachodu i osiągnąć pokój światowy. Czekam, podobnie jak miliony Amerykanów, kiedy nasz prezydent wręczy nam wreszcie przykazanie, a 48 proc. opowiada się przeciwko niej.

Jak widać - nawet w NRF Waszyngton nie znajduje wielu entuzjastów swoich poczynani.

A. S. OBLAS

W kołach dyplomatycznych Paryża mówi się, iż w czasie rozmów moskiewskich de Gaulle'a uświadniły się raz jeszcze wyjątkowe walory dyplomatyczne Aleksieja Kowalina. "To jeden z najzdolniejszych ludzi naszej epoki, świetny negocjator i zawsze znakomicie przygotowany rzecznik sprawy rozbrojenia i pokoju".

Modelka z Frankfurtu, Gisela Heuser wydała książkę pt. "Hitler - mój ojciec". Panna Gisela utrzymuje, iż jest nieślubnym dzieckiem

Phantom II, amerykański myśliwiec odrzutowy uzbrojony tylko w rakiety typu powietrze - powietrze, otrzymuje obecnie dodatkowe sprężone powietrze przeciwlotnicze. Powód: amerykańscy eksperci uznali, że rakiety w walce powietrznej nie spełniają



Wilson (do lewego słowidła swej partii): Spokojnie, chłopcy, będziemy mieli pokój! (Do Johnsona): Spokojnie, L. B. J. Wiesz przecież, że misja pokojowa nie traktuje poważnie.

swych zadań. Wbrew teoretycznym przewidywaniom i doświadczeniom z poligonów, w czasie walki nie udaje się naprowadzić je na cel.

Rektor szkoły w Dillingen (NRF) przyzobowiązał się jednej z klas hitlerowska swastyka. Jego tłumaczenie: "To tylko historyczny symbol, czy może on dzieciom zaszkodzić?"

Frank Sinatra (już po 50) ożenił się z Mia Farrow, lat 21. Syn Sinatra oświadczył dziennikarzom: "Mój tato ma pomysły!"

WTOREK

Eugeniusz Jewtuzenکو zwrócił się listem otwartym do Johna Steinbecka o potępienie wojny w Wietnamie.

"Król i królowa podała do wiadomości, iż oczekują radośniej nowiny". Ten tradycyjny komunikat powiadomił Belgów, że mogą spodziewać się narodzin następcy (czyż?) tronu.

Jean Shrimpton, najpopularniejsza modelka Wielkiej Brytanii chce grać w filmie. Przyczyna: "Czuje, że osiągnęłam już szczyt kariery modelki i zaczynam się nudzić!"

Laurence C. Baldauf, kapitan marynarki wojennej wraz ze swymi czterema kolegami wystąpił na drogę sądową przeciw rządowi USA. Oficer protestuje przeciw przedłużeniu okresu służby wojennej w Wietnamie. "Jesteśmy przez Pentagon traktowani jak niewolnicy!"

ŚRODA

Odkrycia polskich paleontologów na pustyni Gobi stały się światową sensacją. Konferencja w Paryżu, na której profesor Zofia Kielan-Jaworska referowała wyniki swych badań została określona przez zachodnich naukowców jako najciekawsza w XX wieku!

Paul Wacker, właściciel gąrażu we Frankfurcie zastrzelił 35-letniego szofera, J. Bernerta. Powód: kierowca wdrapał się nieprzeżyłynie do nowego mercedesa Wackera. "Nie mogłem tego znieść, to byłoby obelga!" powiedział Wacker, po czym skazano go na dwa lata i siedem miesięcy za zabójstwo w afekcie.

Baron Douglas of Kirtleside, angielski marszałek polityczny i od lutego 1946 do października 1947 gubernator wojskowy w brytyjskiej strefie okupacyjnej wydał tom wspomnień. Pisze w nich o Goeringu - "mój stary przyjaciel" - i relacjonuje swą wahaną i zabieg w związku z norwberskim procesem: "ostatecznie to był przecież nasz towarzyszy broni jeszcze z czasów pierwszej wojny".

CZWARTEK

70-letnia, bajecznie bogata Francuzka, pani Marilhe, została od swych bliźszych i dalszych krewnych w blaskach telegram "natychmiast przybywajcie". Zjawilo się ponad 70 osób z nadzieją w sercu. Okazało się jednak, że zmarł tylko... piesek pani Marilhe.

W Londynie rozważa się możliwość zmniejszenia Armii Renu o 15,000 ludzi. Bonn podjęło już kontrakcje dyplomatyczne.

KIBIC MA GŁOS

Jest więcej niż pewne, że żadna dyscyplina sportowa nie ma tylu zwolenników i nie rozpala tak wielkich namiętności jak piłka nożna. Pewien publiczista zagraniczny posunął się nawet do stwierdzenia, że czym w wieku XIX była dla mieszczańska opera, tym dziś - stały się dla niego mecze futbolowe. Trzeba tu wnieść pewną poprawkę: nie tylko mieszczech, "szaleje" za futbolem. Ludzie wszystkich warstw i wszystkich środowisk nie są wolni od pasji kibicowania. Wystarczy zaobserwować, kto przychodzi na boisko, gdy rozgrywa jakiś mecz EKS. Na trybunach spotykają się ojcowie miasta i włókniarze, aktorzy i literaci, studenci i profesorowie, lekarze i dyrektorzy, słowem: idealny przekrój społeczny.

Mniej więcej od dwóch tygodni pasjonujemy się rozgrywkami o mistrzostwo świata w Anglii. Gdy zbliża się godzina transmisji telewizyjnej z kolejnego meczu, dyrektorzy odwołują konferencje, referenci przestają przyjmować interesantów, poeci porzucają rozpoczęte wiersze. Każdy leci do własnego domu lub do domu sąsiada, sadowi się przed telewizorem i z niepokojem oczekuje na mecz, padają zakłady i odpowiedzialnie, kto zwycięży, a kto zostanie pobity.

Mam znajomego, który zrezygnował z przydzielonych mu wczasów, ba! stracił wykupiony już bilet kolejowy, byle pozostać w domu i oglądać te pasjonujące zawody pomiędzy najlepszymi drużynami świata. Olegdaj znalazłem się w pewnym towarzystwie, gdzie - rzecz jasna - tematem głównym były zbliżające się już ku końcowi mistrzostwa piłkarskie. Postanowiliśmy urządzić coś w rodzaju "toto-lotka" i wytypować zwycięzców. Na pięć obecnych osób, dwie wytypowały na pierwsze miejsce Portugalię, dwie - ZSRR, a jedna - NRF. Nikt nie wytypował Anglii, a ona właśnie może nam sprawić niespodziankę i wygrać. Co do mnie, byłbym niepokieszony, gdyby wygrali Anglii. Przypomnijmy: nowoczesny futbol narodził się w ich kraju w 1863 roku wraz z powstaniem Football Association, organizacji, która skodyfikowała podstawowe zasady gry w piłkę nożną. W obecnych rozgrywkach są oni gospodarzami, ale zachowują się na boisku jak chamusie. Mogliśmy to obserwować zwłaszcza w meczu z Urugwajem. Sympatycy Urugwajczycy okazali się prawdziwymi dżentelmenami, podczas gdy gos-

podarze zademonstrowali pychę i arogancję, dowodząc swoim zachowaniem, że nie obce im są nawet zapędy rasistowskie.

Jeżeli ciekawi jesteście, kogo ja wytypowałem na zwycięzcę, to wam powiem: Portugalię. Będę szczerze żartowiony, gdy drużyna ta przepadnie. Portugalczyki pokazali najbardziej pomysłowy futbol, grają delikatnie i z wdziękiem, a Eusebio stał się pierwszą gwiazdą piłkarskiego sezonu. Jest zwinny, lekki, stać go na imponujące solówki, lecz zarazem umie znaleźć się w zespole, dyrygować nim lub poddać mu się, zależnie od sytuacji. Dopiero na tle tej parady piłkarstwa światowego widać, jak słaby jest nasz polski futbol. Aż żal serce ścisła, gdy się pomyśli, że nasze piłkarstwo nie jest w stanie wykaraskać się z impasu. A może po prostu nie mamy do tej dyscypliny sportowej talentów? Piłka nożna jest grą zespołową, najlepsze indywidualności nie wiele pomogą, jeśli nie poddadzą się prawom strategii zbiorowej, gdzie każdy z graczy ma przydzielone odpowiednie zadanie, a razem tworzą zespół zgrany, rozumiejący się i przeniknięty wolą zwycięstwa. Może przeszkadza tu znany polski indywidualizm? Przecież ten indywidualizm zgubił w obecnych rozgrywkach Brazylijczyków. Gdybyż nasi piłkarze grali tak jak przeciętny członek drużyny brazylijskiej, nie mówiąc o Pelem, który jest niedoścignionym wirtuozem. A przecież i on zawiódł tam, gdzie zabrakło zwanego kolektywnego działania. Najbardziej dokuczliwy w polskim futbolu staje się chroniczny brak stabilizacji poziomu. Piłkarze z meczu na mecz są tak niepewni, raz grają świetnie, raz fatalnie, że nie da się przewidzieć i na żadne trwalsze rezultaty liczyć nie sposób. Ciekawe, czy obserwacja mistrzostw świata nauczy czegoś naszych futbolistów?

Jan Koprozak

PS: Stało się. Portugalczyki przegrali z Anglikami.

W Szwecji wg oficjalnych danych jest 3.166 milionerów, z czego jedna trzecia mieszka w Sztokholmie. 77 z nich zgłosiło dla celów podatkowych dochody przewyższające rocznie 5 milionów koron.

OCHOTNICY MADE IN USA

Wojna w Wietnamie wywołała ostatnio dyskusję na łamach prasy Stanów Zjednoczonych.

W styczniu 1951 roku tygodnik „Time” ogłosił „postacie roku” żołnierza amerykańskiego walczącego w Korei. W czerwcu 1966 r. na tytułowej stronie poczytnego periodyka pojawiła się twarz Gary'ego Wilsona, chłopca, który nie chce walczyć w Wietnamie.

Młody Wilson — student geologii — otrzymał właśnie wezwanie do wojska. Ale w poście tradycyjnym Wilson jest przeciwstawieniem patrioty gotowego zawsze i wszędzie ginąć za ojczyznę. Przy tym, dodaje „Time”, że Wilson nie żywi przekonania lewicowców, nie jest też z natury oponentem. Jest zwyczajnym chłopcem, który jak wielu innych amerykańskich chłopców, nie chce jechać do Wietnamu, nie chce walczyć o coś, czego nie rozumie i czego nie czuje. „Wojny w Wietnamie” — pisze „Time” — nie można porównywać z sytuacją w II wojnie światowej, kiedy to tysiące młodych ochotników domagało się wcielenia do armii, chcąc walczyć z faszyzmem.

Sytuacja w Wietnamie wymaga coraz większej liczby żołnierzy. Komisje poborowe pracują na pełnych obrotach. Listy dwudziesto-, trzydziesto- i czterdziestoletnich młodych ludzi są na wyczerpaniu. Ci chłopcy nigdy nie przypuszczali, że będą kiedyś walczyli w Azji i że stanie się to tak przedk.

Liczba powołanych w 1966 roku obejmuje milion 637 tysięcy rekrutów. Wybór pada zazwyczaj na ludzi wolnych, nie obarczonych rodziną. Przeważnie są to studenci, do których trafiają karty z podpisem prezydenta: „Witajcie! Armia Stanów Zjednoczonych was wzywa!”. Taki rozkaz burzy plany życiowe niejednego.

Kartę tej treści otrzymał Gary Wilson. 18 czerwca miał zdawać egzamin magisterski, a potem była już wyznaczona data ślubu i czekała na Wilsona, dobra praca. Te plany przekreślała karta z podpisem prezydenta. Wilson zaprotestował. Napisał do Johnsona (czyżby to zresztą co tygodnia 350 powołanych). W odpowiedzi o-

trzymał rozkaz wyjazdu w dniu 19 czerwca, tj. nazajutrz po magistrum. Wtedy zrezygnowany napisał do „Time’a”: „Nie wahałbym się pójść do wojska, gdyby Stany Zjednoczone prowadziły wojnę z nieprzyjacielem, który zagraża naszej ojczyźnie. Ale jakim wrogiem jest mi daleki Wietnam...”

Wielu chłopców myśli podobnie. 22-letni Paul Fast z Uniwersytetu w Minnesota, określił Wietnam jako „miejsce niesławnej śmierci”, dodając przy tym: „Nie wiem, jak bym się czuł, gdybym musiał tam walczyć. Jak można poświęcić życie za sprawę, o której nie wiadomo, czy jest słuszna”.

23-letni Cully Clark „myśli, że jako nauczyciel może zrobić znacznie więcej dla jego kraju”. Jeśli mnie powołają, to pójdę, bo brak mi odwagi, aby być dacyfistą. Umierać tam bede bez przekonania, że moje życie oddaje za dobrą sprawę”.

Inny student John Hicky porównuje wezwanie do wojska z nieuleczalną chorobą... „to tak, jak ktoś chory na raka martwi się, ale wie, że nie mu nie pomoże, że nie ma ratunku”. 21-letni Charles Ryberg z Uniwersytetu w Howard, dodaje: „...nie sposób być entuzjastą. Myślę, że Johnson jest chyba szalony — przeciwieństwo to polityczne samobójstwo”.

Ten negatywny stosunek studentów, którzy nie są komunistami, nie mają nawet przekonania lewicowych podkreślają „Newsweek”, „New York Times”, „US News”, „World Report”.

Wypowiedzi młodych spotkały się z ostrą krytyką weteranów II wojny światowej. Na łamach prasy rozgorzała dyskusja.

Richard Horwitz z Uniwersytetu w Howard solidaryzuje się z antymilitarystyczną postawą studentów... „rozumieję studentów. Dla wielu takich, którzy zdobyli już zawód, to zupełna strata czasu. Mogliby go z pożytkiem oddać ojczyźnie pracując naukowo. Przecież profesor biologii lub historii po wcieleniu do armii niczego więcej nie uczyni dla wojska niż zwykły żołnierz, bez kwalifikacji naukowych? Służąc nauce na pewno zrobi dla kraju więcej”.

Ale kapitan rezerwy Robert Morrison karci studentów „Zgadzą się, że dla wielu służba wojskowa to strata czasu, taka zresztą sama jak

dla innych okres studiów w Howard”.

Polemizuje z nim J. R. Buchner z Los Angeles „Zastanawiam się, czy ci, co tak potępiają młodzież są naprawdę obiektywni. Niech zdelma na chwile sztandar, którym się owineł i przynajmniej, że poszli do wojska, by szukać przygody?”.

Natomiast kapitan John McDermott z frontu wietnamskiego jest zdecydowany w swoim sądzie „Przygotowując się do walki z wrogiem, którego nie znam, myślę sobie — kiedyż to chłopcy z uniwersytetów stana się mężczyźnami!”.

Niektórym dyskutantom nie brak humoru. Oto sprawa aktora filmowego George’a Hamiltona, boyfriend’a Lindy Bird Johnson — córki prezydenta. Hamilton jako jedyny żywiciel rodziny, zwolniony został z obowiązku służby wojskowej. Zarabia on 200 000 dolarów rocznie, mieszka w bogatej willi w Hollywood, jego matka to wesela pani, czterokrotna rozwódka, gotowa po raz piąty wstąpić w związek małżeński. Zwolnienie Hamiltona z obowiązku służby wojskowej ma posmak skandalu. Ten właśnie temat porusza w liście do redakcji kapitan marynarki Francis T. Coleman z Cin Lai: „Wyjaśnienie jakiego Pan — redaktorze — udzielił na temat George’a Hamiltona wzruszyło nas głęboko. Jednocześnie postanowiliśmy urządzić składkę w dowód sympatii dla młodego aktora, którego zapraszamy na spotkanie z nami. Prosimy go jednak uprzedzić, aby przybysząc na ziemie mat i namiotów wojskowych okazał wspaniałomyślnie, wyrozumienie dla tych, którzy nie potrafią ukryć sarkazmu, i goręczy. Ale żółd tych ludzi wynosi 83 dolary, a nieraz tylko 30 centów, w Stanach mają na utrzymaniu żony i dzieci. Ufam, że George Hamilton wybaczy tym szaleńcom ich niezrozumienie dla jego tak wspaniale pojmowanego patriotyzmu”.

Wszystkie listy są podpisane imieniem i nazwiskiem, redakcje nie przyjmują anonimów.

Stanowiska dziennikarzy są podzielone, większość z nich również potępia zdecydowanie wojnę w Wietnamie — najbardziej dramatyczny problem naszych czasów.

oprac. M. T.



Historia heroiczna

Prastare wietnamskie annale wspominają o osiemnastu mitycznych władcach dynastii Huong Vuong, których panowanie miało trwać 2631 lat. Historycznie udokumentowane kroniki świadczą, iż państwo wietnamskie powstało w roku 225 p.n.e. i nosiło nazwę Au Lac. To ledwie ukształtowane państwo znalazło się wnet pod dominacją chińska. W roku 40 p.n.e. dwie siostry Trung utworzyły armie powstańcze Au Lac i przegnały najęźdźców. Jednakże w trzy lata później Wietnam znowu uległ chińskiemu feudalizmowi. Tym razem panowanie chińskie trwało tysiąc lat. Na przestrzeni tego długiego okresu historycznego naród wietnamski ani razu nie uział karku.

Permanentna, dziesięć wieków trwająca, ogólnonarodowa rewolucja doprowadziła wreszcie do odzyskania niepodległości w roku 939 n.e. Należy w tym miejscu wymienić trzy wielkie zrywy tej rewolucji bez precedensu: Ba Trieu w r. 248 n.e., Ly Bon w latach 544—602 i Ngo Quyen w r. 939, roku niepodległości.

Naród wietnamski ma za sobą długi okres niepodległego bytu. Późni feudalowie kilkakrotnie odparli najazdy zaborców. Z tego okresu odnotowujemy dwa najważniejsze wydarzenia: wielkie zwycięstwo króla Tran Quoc Tuana, który na przestrzeni 30 lat ciężkich walk, w latach 1257—1288, odparł trzykrotnie najazdy Mongołów (państwo mongolskie rozciągało się wówczas od Morza Czarnego aż po Morze Chińskie) oraz wojnę, która w r. XV prowadził król Le Loi przeciwko inwazji dynastii Ming. Jednocześnie armii i ludu, uwieczniona budową słynnej taktycznej magistrali wietnamskich partyzantów, pozwoliła królowi Le Loi ostatecznie zniszczyć wojska chińskie w r. 1427, po dziesięciu latach niesłychanie krwawych walk.

Wielkie powstanie chłopów w latach 1771—1802, zwane Tay Son, któremu przewodził przywódca ludowy Nguyen Hye, uwolniło kraj od 200-tysięcznej armii mandżurskiej i położyło kres walkom między możnowładcami północy i południa kraju.

31 sierpnia 1858 roku, w porcie Tourane — obecnym Da Nang, który jest dziś baza

amerykańskich agresorów — odbyło się lądowanie pierwszych oddziałów francuskich wojsk kolonialnych. Rozpoczęła się okres krwawego podboju Wietnamu. Dopiero w roku 1882 udało się Francuzom okupować całe terytorium kraju, jednakże naród wietnamski ani na chwilę nie zaprzestał walki przeciwko nowemu najęźdźcy. Na przestrzeni nieomal stuletniej francuskiej okupacji, wybuchły niezliczone powstania. M. in. walka wyzwolencza na południu kraju pod wodzą Truong Cong Dinka w latach 1861—1864, w centrum — pod wodzą Phan Dinh Phunga w latach 1885—1896, na północy krwawe walki z francuskim okupantem trwały aż 19 lat, od r. 1893 do 1912. Dusza powstania byli dwaj patrioci wietnamscy: Hoang Hoa Tham i De Tham.

U progu XX wieku, w wyniku wojny rosyjsko-japońskiej w r. 1905 oraz pod wpływem reformistycznych prądów w Chinach, penetracji postępowych idei zachodniej burżuazji i działalności patriotycznej inteligencji wietnamskiej, zastosowano nową formę walki o niepodległość: emancypację i unowocześnienie kraju. Obok tego nie pominięto walki zbrojnej z okupantem, która nabrała szczególnego rozmachu z chwilą przystąpienia Francji do II wojny światowej.

Rozwój przemysłu w Wietnamie zrodził pierwszy proletariąt. W r. 1926 powstaje Narodowa Partia Wietnamu. W lutym 1930 roku jest ona motorem ogólnonarodowego powstania, które, niestety, krwawo tłumia kolonialne wojska francuskie.

W styczniu 1930 roku powstała Komunistyczna Partia Indochin, która zespala wolnościowe dążenia mas chłopskich i proletariatu, tworząc jednolity i bardzo szeroki front ruchu narodowego. W konsekwencji prowadzi to do doniosłego momentu w dziejach Wietnamu — utworzenia pierwszej Rady Ludu Wietnamskiego w mieście Nghe-an, w centrum kraju, w październiku 1930 r.

W roku 1931, francuski reżim okupacyjny, ten ogólnonarodowy ruch patriotyczny poważnie ogranicza. Mimo to, dzięki silnym wierzom z szerokiej masami ludowymi, komunistami oraz inne postępowe elementy w kraju, podrywają naród wietnamski w latach 1935—36 do rewolucji. W roku 1941 wietnamscy komuniści tworzą Ligę Niepodległości Wietnamu — Viet-minh — której promotorem jest Ho Chi Minh.

Druga wojna światowa wyznacza nowy etap walki narodu wietnamskiego o niezawisłość kraju. Po upadku Francji, rząd w Vichy zawiera porozumienie z Japonią, które zapewnia jej koprotektorat w Wietnamie. Mimo to, wietnamski ruch oporu ani nie

słabnie, ani nie maleje. W roku 1945 wojska japońskie neutralizują Francuzów i stają się jedynym władcą tego kraju. Wkrótce, podopieczny rząd w Tokio, japońska marynarka — Bao Dai, ogłasza „niepodległość Wietnamu pod zarządem japońskim”. Kapitulacja Japonii w r. 1945 stwarza warunki na ostateczne zwycięstwo rewolucji wietnamskiej.

16 sierpnia 1945 roku, Kongres Narodowy w Tau Trao przyjmuje rezolucję Frontu Viet-minhu o ogólnonarodowym powstaniu. Rewolucja toczy się przez kraj, jak lawina — cały naród chwytła za broń. W trzy dni później, wice 19 sierpnia 1945 r., pada Hanoi. Rewolucja Sierpniowa odnosi całkowite zwycięstwo 2 września tego roku przedzydent Ho Chi Minh proklamuje niepodległość Wietnamu.

Zaledwie jednak Rewolucja Sierpniowa zaczęła wydawać pierwsze owoce, a już 23 września 1945 r. francuskie wojska kolonialne, osłaniane przez oddziały brytyjskie, wkroczyła do Indochin z misją rozbijania japońskich faszystów. Niebawem uderzyła Francuzi na Sajgon, a następnie rozpoczynała systematyczny podbój całego kraju. Dochodzi do gwałtownych walk w Koehinchinie (tj. w południowym Wietnamie). Dążąc do pokojowego uregulowania konfliktu, rząd Demokratycznej Republiki Wietnamu podpisuje z Francją, w dn. 6 marca 1946 r., tymczasowy układ, na mocy którego obie strony godzą się na omówienie konfliktu w terminie nieco późniejszym, na specjalnej konferencji. Jednakże, gdy w czerwcu tego roku, Ho Chi Minh jest w drodze do Fontainebleau, władze francuskie gwałca postanowienia traktatu z 6 marca i tworzą „rząd w Południowym Wietnamie”...

Pragnąc położyć kres rozlewowi krwi i dając do pokojowego zakończenia wojny, Ho Chi Minh podpisuje z Francją układ, godzący się na modus vivendi oraz przyjmujący koncepcję federacji indochińskiej, w której Wietnam byłby państwem suwerennym. Oweczesny rząd francuski nie myśli jednak o respektowaniu układu. Po licznych, lecz bezskutecznych, prowokacjach, admirał Thierry d’Argenlieu bombarduje 28 listopada 1946 r. Hanoi, a 28 grudnia tego roku oddziały francuskie zajmują wietnamskie gmachy rządowe w Hanoi. Już nazajutrz w całym kraju wybuchają spontaniczne ruchy oporu. Będzie trwał dziesięć lat.

Ostateczne zwycięstwo Armii Ludowej Demokratycznej Republiki Wietnamu pod Dien Bien Phu w maju 1954 roku, zmusza Francję do zaprzestania agresji na Wietnam Północny i do podpisania traktatu pokojowego z DRW w Genewie, w nocy z 20 na 21 lipca 1954 r. (S)

ALE POGODA!

Wedrują nad nami niżej i wyżej baryczne, na zmianę, to oberwanie chmury, to znowu upał — i wszystko to fatalnie wpływa na samopoczucie. Człowiek łatwo się obraża, łatwo unosi, łatwo denerwuje. I wszystko go złości. Mnie owe niżej i wyżej również ostatnio wytrąciły z niewzruszonego spokoju. A może sprawa o werdykt jurorów zakończony niedawno konkursu na powieść? Przeczytawszy ów werdykt bardzo się zirykowałem, mimo, iż wśród jego uczestników — ani mój swat, ani mój brat. Sędziowie, jeśli państwo pamiętają, nie przyznali pierwszej i trzeciej nagrody. Ich prawo, regulamin konkursu, taki casus przewidywał. Ja bym nagrody te przyznał, na pewno nikomu by to nie zaszkodziło, a może przyznali się do bogatszego obsesania następnych naszych łódzkich konkursów. Lecz może istotnie nieprzyznanie pierwszej nagrody miało jakiś sens, może chodziło o zaakcentowanie, iż nadesłane prace nie zrealizowały jakiegos ogólnego, tematycznego czy ideowego założenia konkursu? Może! Natomiast nieprzyznanie trzeciej nagrody uważam już za kompletną bzdurę: jakież to aptekarskie wagi określały wartość powieści nagrodzonej czwartą nagrodą? Jakich zabrakło jej ingrediencji i według czyjej to receptury zestawianych? Ile wniosła różnica w wymaganiach między tą nagrodą — a nieprzyznana trzecia?

Niżej i wyżej baryczne mają to do siebie, że człowiek skory jest do pochopnych sądów: ześlony werdykt, pomysłatem, że może to ważyć syczał w czyjejs kieszeni? A może „zadziała” jakaś niezyczliwosc nagromadzona w atmosferze? No i dopadłem na najbliższego jurora, a redakcyjnego koleżę: tłumacz, powiedziałem, jakimi to drogami chodzą wasze sady? Juror zasłonił się absencją: głosował zaocznie. A przyciśnięty mocno — zwał wszystko — jak było do przewidzenia — na niżej i wyżej baryczne.

Rzecz w tym jednak, iż pogody się zmieniają, a po konkursach zostają trwale „słady”.

Albo inny powód do irytacji: iż łódzka Sesja Wyjazdowa MKiS nie zaproszono prasy. Więcej nawet — gdyśmi sami pokornie poprosili o wejściówkę — odmówiono nam takowej. Zresztą nie tylko nam, a całej łódzkiej prasie, prócz operatorów TV, którzy uwieczniali obrazy tej otoczonej tajemnicą narady. Po jej zakończeniu minister w rozmowie dał do zrozumienia, iż to nie z jego inicjatywy wyszedł ów exodus dziennikarzy z sali obrad. Czyż to nie irytujący fenomen? Dziennikarze zwiędają nasze poligony, fotografują — jak w czasie deflady 1900-letnia — nasze rakiety, nadświetlowe i superczerw. A w Łodzi — zamyka się im przed nosem drzwi, za którymi toczy się dyskusja o problemach polityki kulturalnej. Dlaczego? Zresztą właśnie w naszym mieście, sprawy wszelkich decyzji dotyczących kultury pora oddawać — już z zasady — pod sąd opinii publicznej. Nie wyjdzie to na złe miastu, przyczyni się do wyższej temperatury życia kulturalnego. Otwarcie okien nikomu jeszcze nie zaszkodziło.

To takie moje rozłożone uwagi: trudno przecież zachować spokój, kiedy ktoś ci tak przed nosem zatrząskuje drzwiami. Trudno — szczególnie, gdy wedrują nad nami niżej i wyżej baryczne itd., itd., jak na wstępie.

WACŁAW BILINSKI

Dzień X nadchodzi

Dalszy ciąg ze str. 1

cy pogląd: „Z wyjątkiem autobusów „Chausson” wszystkie pozostałe wozy są tylko adaptowane do potrzeb komunikacji miejskiej...” I dalej: „Oprócz autobusów „Chausson” najlepiej z punktu widzenia pracy oceniony jest autobus „Jelcz”. I jeszcze: „Szczególnie nieprzystającym do roli jest autobus typu „San” zarówno z silnikiem benzynowym jak i nieudanym silnikiem wysokoprężnym S53”.

Zgodnie z powyższym w Warszawie kursują: 282 „Chaussony” oraz 717 autobusów typu „Jelcz” lub „Ikarus”, natomiast zupełnie nie ma „Sanów”. Za to Łódź jest obsługiwana przez 65 „Sanów” oraz 80 „Jelczów” czy „Ikarusów”.

Ponadto Warszawa ma 109 trolejbusów.

I teraz, wiedząc, że:

■ tramwaj typu N mieści 83 osoby

■ tramwaj typu 13N — 115 osób,

■ autobus „Chausson” mieści 76 osób, tyleż „Jelcz” i „Ikarus”,

■ „San” ma tylko 64 miejsca, że wreszcie:

■ w trolejbusie mieści się 90 osób, a w autobusie przegubowym — 144.

proponuje dokonanie korekty zestawień statystycznych w sposób następujący:

Warszawa ma wagonów:

typu N — 583, a więc miejsc 48.389

typu 13N — 300 a więc miejsc 34.500

autobusów przegubowych:

102 a więc miejsc 14.688

autobusów „Chausson”, „Jelcz”, „Ikarus”:

897 — miejsc 68.172

trolejbusów:

109 a więc miejsc 9.810.

RAZEM WARSZAWA DYSPONUJE TABOREM KOMUNIKACJI MIEJSKIEJ MIESZCZĄCYM 175.559 OSÓB.

Taki sam rachunek dla Łodzi:

wagonów tramwajowych typu N:

— 500, miejsc 41.500

autobusów typu „San”:

— 65, miejsc 4.160

autobusów „Jelcz” i „Ikarus”:

— 80 miejsc 6.080.

RAZEM ŁÓDŹ DYSPONUJE TABOREM KOMUNIKACJI MIEJSKIEJ MIESZCZĄCYM 51.740 OSÓB.

WARSZAWA 175 tys. miejsc

ŁÓDŹ 51 tys. miejsc.

Oto właściwy obraz stosunku komunikacji miejskiej tych dwóch miast. Zresztą liczb powyższe nie uwzględniają większej sztywności części tramwajów warszawskich, lepszej przelotowości warszawskich ulic, większej ilości osób korzystających z własnych środków lokomocji i innych czynników.

W czasie jednego z posiedzeń Rady Narodowej m. Łodzi poświęconej sprawom komunikacji jeden z radnych powiedział: „Nieunikniony jest dzień X, kiedy komunikacja Łodzi stanie”. Zważywszy, że obecnie



Fot. A. Dębowski

przybywa Łodzi około 25 milionów pasażerów, a środki komunikacji do zostają od lat niemalże bez zmian, sędzieli należało, że „Dzień X” nie jest odległy, zwłaszcza że oznaki jego zbliżania się obserwujemy niemal codziennie. Pozwólcie sobie powtórzyć własne słowa, umieszczone na łamach „Odgłosów” kilka miesięcy temu. Wszyscy wiedzą, że dla usprawnienia komunikacji samochodowej konieczne jest stworzenie w Łodzi systemu tras równoległych, łączących północ z południem. To też powstaje Al. Politechniki, Wólczńska, Al. Kościuszki, Przedziałniana. Z tramwajami jest inna sprawa. Jeżeli przed wojną na linii północ — południe mieliśmy trzy trasy tramwajowe (Kilińskiego, Piotrkowska, Gdańska) to i teraz mamy ich trzy (Kilińskiego, Kościuszki i Gdańska). Korki na dwóch jednocześnie

tuż się zdarzały. Kiedy „wysiada” wszystkie trzy, będziemy mieli „Dzień X”, lub jego przedsmak.

Aby tego uniknąć, MPK zaproponowało zainwestowanie w ciągu bieżącej dekadzie 200 milionów złotych w komunikację miejską. Suma to zmniejszono centralnie do 80 milionów, a potem jeszcze jakoś z ósemki zrobiła się piątka. 50 milionów pozwoli na dalsze biedowanie bez natychmiastowej katastrofy, ale potrzeb nie zalać. W tych ramach finansowych nierealne jest nawet stworzenie czwartej równoległej linii tramwajowej, która planuje się na trasie: Limanowskiego, Żeligowskiego, Łakowa, Al. Politechniki.

W jakiej mierze, choćby na krótko ułatwiłyby komunikację tramwajowa wydzielenie torowisk, gdyż za bieg taki pozwala na zwiększenie szybkości i bezpieczeństwa ruchu

tramwajów. Nie jest to jednak możliwe bez wyburzeń. A wyburzenia kosztują. Jakimiś, choćby chwilowo, wyściami z trudności byłoby znaczne zwiększenie ilości autobusów. Niestety, reprezentacyjny charakter stolicy naszego kraju wymaga, by najliczniejsze autobusy szły w największej ilości do Warszawy. Trolejbusy w ogóle w grę nie wchodzi, bowiem ten rodzaj komunikacji z wielu względów nie będzie stosowany.

Życie nie chce nagłać się do zasady podziału ludzi według ważności miast, w których mieszkają. Wymieniony wyżej przyrost w Łodzi 25 milionów pasażerów rocznie jest wynikiem m. in. deglomeracji śródmieścia. Kilka lat temu stocznicy w śródmieściu, lub na bliskich przedmieściach robotników dzieliła od miejsca pracy odległość

dwóch czy pięciu przystanków. Dziś zapelniony na stacji krańcowej tramwaj wiezie ten sam komplet pasażerów kilometrami. Zjawisko to, widziane od strony statystycznej wyraża się liczbą dziewięciu pasażerów na wozokilometr w r. 1961. Liczba ta już wzrosła do 11 pasażerów na wozokilometr, a wkrótce osiągnie wielkość 15 pasażerów. Dochodzi do tego gwałtowny rozwój komunikacji samochodowej. Ślad obrazki, na których widzimy tramwaj przed skrzyżowaniem, za nim cztery samochody, potem tramwaj i znów sznur samochodów — to przedsmak Dnia X.

Jak wspominałem, znaczna część kłopotów komunikacyjnych stolicy rozwiązuje koleje państwowe. W Łodzi mówi się od kilku lat o podobnym wykorzystaniu linii obwodowej. Moment realizacji tego pomysłu jest chyba bardzo odległy. Na przeszkodzie stoi — jak to często bywa — papier, w postaci okólników i zarządzeń. Oto przykład. Mamy zelektryfikowaną linię Zdun ska Wola — Zgierz. Z linii tej mogłyby korzystać pasażerowie, jeżdżąc do Łodzi. Lub — na odwrót. Podróż zatłoczonym tramwajem z Pabianic do Łodzi trwa 48 minut. Pociągiem jechaliby 11 minut, odciażając jednocześnie środki komunikacji miejskiej. Ale miesięczny bilet tramwajowy na tej trasie kosztuje 15 zł, podczas gdy kolej żąda 72 zł. Żaden zakład pracy nie godzi się na ponoszenie tak wysokich kosztów. Toteż, jeżeli pasażer korzystający ze śródmiejskich środków lokomocji płaci za 1 km około 5 groszy, to pasażer linii podmiejskiej przejeżdża odległość 1 km za 2 grosze, choć — logicznie rozumując — powinno być na odwrót. To samo zjawisko widziane w świetle innych liczb: jeżeli przejazd do Łodzi kosztuje 50 gr (ulegowy 20 gr), to z Pabianic do Łodzi jeździe się na podstawie biletu pracowniczego za 25 gr. Nonsens!

Co należałoby zrobić, by 740-tysięczne miasto, które nie ma lotniska, w którym na svenat telefoniczny czeka się pół godziny a które daje dużą część dochodu narodowego — nie zamarało w jakimś gigantycznym korku komunikacyjnym? Kilka wagonów tramwajowych lub autobusów na nieciółatke nie jest w stanie niczego tu zmienić na lepsze, nie jest nawet w stanie utrzymać spraw na dotychczasowym, niedoskonałym poziomie.

Włączenie do systemu komunikacji miejskiej istniejących na terenie miasta linii kolejowych wydało się zabiegiem najłatwiejszym. Budowa tramwaju podziemnego, przynajmniej na najbardziej zagrożonych kierunkach — to sprawa druga, a nastąpić powinna zaraz po tamtej lub z nią razem. Być może, że nasi komunikacyjni specjaliści, przewyższając do wliczenia w kalkulacje reprezentacyjności stolicy, uznają taki fakt za naruszenie bardzo wygodnego dla warszawiaków zasady. Ale Łódź, aby mogła prowadzić właściwą sobie działalność miasta przemysłowego, drugiego co do wielkości w Polsce, musi mieć rozwiązane problemy komunikacyjne. Aby uniknąć Dnia X.

1) „Tabor komunikacji miejskiej — ocena i potrzeby”, Wrocław, 24 — 26 czerwca 1966.

2) Zygmunt Rawski „Potrzeby komunikacji miejskiej w zakresie produkcji środków przewozowych”, ibid., str. 114.

Śmierć przyszła przy zdjęciu 313

Z początkiem lutego 1964 r. wydawało się, że tylko jeden zamachowiec dokonał morderstwa, że ta sama kula trafiła prezydenta Kennedy'ego i gubernatora Connally'ego.

Inny wniosek wynika z badań nad filmem, nakręconym przez amatora Zaprudera w momencie zamachu.

Analiza taśmy, kadr po kadrze, ukazała trzy ważne momenty:

— zdjęcie Nr 225 — prezydent Kennedy chwytą się rękami za gardło;

— zdjęcie Nr 235 — gubernator Connally pochyła się do przodu;

— zdjęcie Nr 313 — pocisk trafia prezydenta w głowę.

Czas zawarty między momentami, w których obydwa mężczyźni zostali trafieni po raz pierwszy wynosi około pół sekundy (10 klatek szybkości przesuwno filmu — jak to stwierdziły badania laboratoryjne — 18,3 zdjęć na sekundę).

Maksymalny przedział czasu między momentami, w których obydwa mężczyźni mogli zostać trafieni, wynosi około 1,8 sekundy (albo 42 zdjęcia filmowe). Tyle czasu trzeba dla otworzenia i zarygowania zamka karabinu nie licząc czasu potrzebnego do celowania.

Nie jest możliwe, aby broń zamachowca w tym przedziale czasu, w jakim prezydent Kennedy i gubernator Connally zostali po raz pierwszy trafieni, odpaliła dwukrotnie. A więc obaj zostali trafieni tym samym pociskiem, albo było

co najmniej dwóch zamachowców?

Odpowiedź na to rozstrzygające pytanie zależała od wyników sekcji zwłok przeprowadzonej w nocy po zamachu w Bethesda Naval Hospital w Maryland.

Jeśliby sekcja zwłok wykazała, że kula trafiająca prezydenta w plecy, przeszła na wylot przez jego ciało, to istniałaby możliwość, że przedbijając swój bieg, trafiła w siedzącego przed Kennedyem gubernatora Connally'ego.

W dodatku do raportu Warrena czytamy: „Pocisk przebił tkankę mięśniową po prawej stronie szyi, uszkodził tchawicę i wyszedł przednią stroną zewnętrzną szyi”.

Jest jednak wątpliwe, czy sprawozdanie z sekcji zwłok, które zostało opublikowane w Raporcie Warrena rzeczywiście jest pierwotnym sprawozdaniem.

Istnieje dokument tzw. FBI-Summary Report, który na tę kwestię rzuca znacznie więcej światła.

Opracowanie FBI z 9 grudnia głosi: „Lekarskie badanie zwłok prezydenta wykazało, że jeden z pocisków wbił się wprost pod jego ramię na prawo od kregostupa pod kątem od 45 do 60 stopni, że nie ma punktu wyjścia pocisku i że pocisk nie znajdował się w zwłokach”.

Sprawozdanie FBI mówi więc nieodwrotnie, że pocisk nie wyszedł z przodu ciała. Sprawozdanie zakłada, że pocisk upadł na nosze prezydenta, gdy leżał on w szpitalu w Dallas.

Tak więc Raport Warrena jest sprzeczny z wynikami sekcji zwłok, w opracowaniu FBI. Możliwość, że opracowanie z dnia 9 grudnia zawiera błąd maszynowy albo błędną interpretację, wyklucza Dodatek FBI z 13 stycznia, gdzie czytamy: „Lekarskie badanie zwłok prezyden-

ta wykazało, że pocisk, który trafił w plecy prezydenta, wbił się nie głębiej, niż na długość palca”.

Arten Specter, prawnik Komisji Warrena, który opracował część Raportu Warrena z motywami wniosków odnośnie sekcji zwłok, opowiada, że lekarze z początku nie mogli znaleźć w zwłokach prezydenta kanału przelotowego kuli. W tym momencie, dwaj agenci FBI, obserwujący sekcję wybiegli „z pomieszczenia” i zakomunikowali to telefonicznie swym zwierzchnikom. Później jednak, według opowieści Spectera, lekarze znaleźli kanał, ale opracowanie FBI było już „oddane do druku”.

Takie wyjaśnienie wydaje się co najmniej problematyczne. Po pierwsze: dwaj agenci Secret-Service, którzy również byli obecni przy autopsji zaświadczyli, że wylotu kuli w zwłokach nie znaleziono. Po drugie: opracowanie FBI nie mogło być oddane do druku wcześniej, niż jedenaście dni po autopsji z 22 listopada.

Wreszcie relacja Spectera nie wyjaśnia w żaden sposób dlaczego Dodatek FBI (datowany 13 stycznia) mówi również, jakoby sekcja zwłok wykazała, że kula utkwiała w ciele nie głębiej niż na długość palca. Opracowanie i Dodatek FBI oraz Raport Warrena zawierają diametralnie przeciwstawne wersje sekcji zwłok. Trzeba je porównać z istniejącymi dowodami, aby ustalić, która z nich jest prawdziwa.

Opracowanie FBI i Dodatek FBI twierdzą, że sekcja zwłok wykazała:

— pierwszy pocisk „utkwiał wprost pod jego (Kennedy'ego) ramieniem”;

— utkwiał „nie głębiej, niż na długość palca”;

— „nie znaleziono wylotu pocisku”.

Raport Warrena dowodzi, że pierwszy pocisk

— wszedł „z tyłu szyi”

— przebił całkowicie szyję

— wyszedł przez gardło.

Komisja ustaliła dalej, że droga pocisku przebiegała od góry ku dołowi. A zatem rana wlotowa musiała być znajdować się powyżej rany wylotowej, to znaczy na powierzchni gardła albo wyżej.

Opracowanie sporządzone przez FBI dowodzi jednak, że pocisk wbił się „wprost pod jego ramieniem, pod kątem od 45 do 60 stopni”. Pocisk więc nie mógł znaleźć się w gardle.

Według wypowiedzi komandora James J. Humesa, który przeprowadził sekcję zwłok jako patolog Navy i podpisał sprawozdanie Komisji z autopsji, że „rana w przedniej części szyi leżała niżej, niż rana wlotu na plecach”.

Do Dodatku sporządzonego przez FBI załączono fotografie marynarcki i koszuli prezydenta, na których widać obydwa dziury pocisku. Te zdjęcia pominięte w Raporcie Warrena, wykazują, że dziura od postrzału znajduje się w marynarce 13,6 centymetra poniżej kołnierza, a dziura w koszuli 14,6 centymetra poniżej kołnierza.

To położenie dziur od postrzału praktycznie zgadza się z położeniem uwidocznionym na tytułowej stronie sprawozdania z autopsji i jest zgodne z opisem rany w sprawozdaniu FBI.

Agent Roy Kellermann zeznał: „Staliśmy na prawo od podpułkownika Fincka, gdy ten instrumentem sondował ranę prezydenta. Spytałem: Półkowniku, jak przebiega droga pocisku? Odpowiedział: „Od miejsca wejścia kuli w ramię nie ma kanału wyjściowego”.

Agent William Greer zaświadczył podobnie, że lekarze przeprowadza-

jący sekcję zwłok nie mogli znaleźć kanału postrzałowego. Jeden z lekarzy powiedział do Greera, że pocisk mógł z łatwością wypaść z rany wlotowej, wtedy, gdy lekarze w Dallas zastosowali masaż serca.

Kiedy zapytano Greera czy była mowa o „jakimś istnieniu kanału postrzałowego w zwłokach”, Greer odpowiedział: „Nie, nie słyszałem niczego w tym rodzaju”.

Nieodnalezienie kanału zgadza się z opracowaniem FBI, które mówi, że pocisk „nie wszedł głębiej niż na długość palca”. Nie zgadza się jednak z Raportem Warrena, który oświadcza, że pocisk przebił ciało prezydenta.

Jeśli wypowiedź agenta Secret-Service Roya Kellermanna jest prawdziwa, wydaje się nader wątpliwe, aby rana na gardle spowodowała pierwszy pocisk, który trafił prezydenta. Kellermann, który w limuzynie prezydenta siedział na przednim siedzeniu, zeznał, że słyszał, jak prezydent wyraźnie powiedział: „Mój Boże, trafił mnie”, i to po pierwszym strzale.

Ponieważ pocisk, który był przyczyną rany gardła, przebił także tchawicę, z punktu widzenia medycznego jest niemożliwe, aby prezydent po zranieniu mógł mówić.

Te fakty byłyby zgodne z wersją sprawozdania z autopsji FBI, która przypisuje spowodowanie rany w gardle przez odłamek późniejszego strzału. Nie zgadza się jednak z wersją autopsji, podaną przez komisję, według której pierwszy pocisk, jaki trafił w prezydenta przebił gardło.

Raport Warrena z jednej strony, a opracowanie FBI i Dodatek FBI z drugiej strony, dają więc diametralnie przeciwstawne wersje wyników sekcji zwłok, na temat rozstrzygnięcia kwestii, czy pierwszy pocisk, jaki trafił w prezydenta,

Stołówka kontra „garnek dworski”

Dalszy ciąg ze str. 1

czł. Zł. 1961. asaż. króć. Do- ożwól Stad tram- nim mwał — to

czuć tolicy. W o po- obwo o po- legly. cześ okół- kład. Zduń mo- dża Zeie- wrót. m z minut. odcia unika bilet ztuje 72 zł. i sie kosz- orczy- sków 5 ero skiej z ero — samo in- no rowy te- acow

W tym momencie czytelnik zapewne dojdzie do wniosku, że ludzie unikali stołówek, ponieważ karmia one albo źle, albo zbyt drogo. Otóż nie, cała sprawa jest znacznie bardziej skomplikowana.

Najłatwiej, właśnie kwestie ceny. Obiady abonamentowe w stołówkach łódzkich wahały się od 6,50 do 7 złotych, w wolnej sprzedaży od 8 do 11 złotych. Za obiad złożony z 3 dań, nawet jeśli nie są to dania kategorii „S”, na pewno warto zapłacić takie pieniądze. W porównaniu z restauracjami, ceny posiłków w stołówkach są przynajmniej trzykrotnie niższe.

I pod względem jakości posiłków stołówek na ogół nie ustępują przeciętnym restauracjom. Zbierając materiał do tego artykułu odwiedziłem kilka, wybranych na chybił — trafił, stołówek pracowniczych. Widziałem lepsze i gorsze, ale żadnej zdecydowanie złej. Największym zaskoczeniem była dla mnie stołówka ZPB im. Marchlewskiego, prowadzona przez tamtejszy Oddział Zarządzenia Robotniczego. Jak wiadomo, większość OZR-ów zlikwidowano po roku 1956, ale w czterech największych fabrykach łódzkich utrzymały się one do dzisiaj.

Otóż OZR we wspomnianych Zakładach im. J. Marchlewskiego ma własne gospodarstwo hodowlane i własną masarnię, która zaopatruje w mięso i przetworzy zarówno stołówkę, jak też bufety w oddziałach produkcyjnych. Stołówka, dysponująca zresztą salą jadalną, której mogłaby pozdrościć jej niejedna elegancka restauracja, świadczy swoim klientom nierzadko usługi. Wydaje ona zarówno obiady abonamentowe, jak też dania na zamówienie, których koszt kształtuje się od 4 (poniżej ceny bułki z kiełbasą) do 9 złotych. Posiłki te i dodatki są dość atrakcyjne, np. czestowano mnie tam doskonałym cociąłem mleczno-owocowym. Trudu sporządzenia takiego napoju nie zadałaby sobie chyba żadna restauracja.

U Marchlewskiego pracuje ponad 8,5 tys. ludzi. Ze stołówki korzysta średnio 600—700 osób. Ta ilość korzystających — około 8—9 procent zalogi — jest charakterystyczna dla wszystkich stołówek znajdujących się wewnątrz zakładów pracy, na terenie zamkniętym, do którego nie ma dostępu obcy stolownicy.

Z kolei sięgnijmy do przykładu odmiennego. Stołówka przy ZPB im. Dzierżyńskiego, prowadzona przez PSS, niewątpliwie ustępuje tamtej, opisanej powyżej, zarówno z racji warunków lokalowych, jak też ze względu na mniejszą różnorodność i atrakcyjność posiłków. Jednak, przy założeniu, liczącej 6,5 tys. ludzi, wydaje się tutaj aż 1600 obiadów dziennie, zaś chętnych byłoby przynajmniej dwa razy więcej. Stołówka jest tak przeciążona, że w godzinie szczytu kolejka oczekujących na dostępie do okienka sięga długim, kilkudziesięciometrowym wężem aż na ulicę.

Ustytuowana jest bowiem ta stołówka poza obszarem zakładu i w związku z tym pragnie się tutaj „urzadzić” mnóstwo ludzi z okolic. Narzucony odgórnie przepis zezwala na wydawanie tylko tysiąca obiadów na abonament ulgowy w cenie 6,50 zł dziennie. Reszta, to abonamenty pełnopłatne (8,50 zł), bądź obiady indywidualne (9,30 zł). Ograniczenie to spowodowało, że sprzedaż obiadów ulgowych musiały poddać surowej kontroli. Raz w miesiącu rady oddziałowe wydają pracownikom specjalne kwitki, które są jedyną podstawą do nabycia ulgowego abonamentu. Zdarzały się bowiem wypadki odstępstwa prawa do obiadu ludziom spoza zakładu, czyli tzw. obcym. Blizsze weryfikacje w sprawie pozwala stwierdzić, że owi „obcy”, to najczęściej... własne dzieci.

I w tym miejscu właśnie dochodzimy do sedna wszystkich trudności i nieporozumień, nagromadzonych wokół spraw żywienia zbiorowego w zakładach pracy. Sprawa ta, warta na pewno zachodu, warta parcia, kuleje z wielu powodów. Nakładają się tutaj kwestie tradycji obywatelskiej, błędów organizacji życia społecznego, a na koniec — względy ekonomiczno-finansowe. Każdej z tych kwestii wrócić poświęcić parę słów.

I. Tradycje.

— Jakaż to korzyść ze stołówki? — powiedziała mi jedna z robotnic. — Żadna, proszę pana. Ja bym nie śmiała meza ani dzieci na państwowy wikt posyłać, bo co oni tam zjedzą? Jak w domu napełni dworski garnek zupy, to wiem, że wszyscy będą mieli dosć.

Podobne wypowiedzi powtarzały się częściej. Z niektórych przemawiała anachroniczna dumna, jakby w rodzaju: „Taka biedna to ja nie jestem, żeby się po stołówkach włóczyć”. Inne kobiety dla odmiany wyrażały opinie, że jednak wyżywienie w domu kalkuluje się najtańiej. Charakterystyczne, że nikt nie brał pod uwagę całej udreki, związanej z przygotowywaniem posiłków w domu. Żadnej z moich rozmówczyń nie przyszło na myśl, że dziecko może wolałoby skromniejszy obiad, ale w porę. Przeciętna robotnica łódzka po zmianie dziennej wychodzi z pracy o godz. 14. Zakupy i przygotowanie obiadu zajmują minimum 2 godziny czasu. Rodzina może więc zasiać do „dworskiego garnka” nie wcześniej niż o czwartej. Zaś pracując na zmianie popołudniowej, kobieta w ogóle nie ma czasu zrobić obiadu.

II. Organizacja życia.

Piećdziesiąt lat temu robotnik pracował 12 godzin na dobie, ale miał przerwę na śniadanie, obiad i niekiedy nawet na podwieczorek. Pomijał sprawę, co mógł sobie kupić do jedzenia za zarobione pieniądze, ważny jest dla mnie w tej chwili fakt, że istniała jakaś organizacja, dzielaca dzień

między pracę, posiłki i wypoczynek. Dziś mamy prawem zastrzeżony przywilej 8-godzinnego dnia pracy. W praktyce utarło się, że jest to 8 godzin bez przerwy, co stanowi anachronizm z punktu widzenia fizjologii. Kto widział człowieka, który potrafi dzień w dzień wytrzymać 8 godzin bez jedzenia? Możemy domstawać przeciw obskurantkiej praktyce napychania się bułką z kiełbasą, zważmy jednak, czy robotnik, goniony przez maszynę, ma jeszcze jakieś inne wyjście do wyboru? Niestety, nie ma.

Ludzie przyzwyczaili się już do 8-godzinnej pracy bez przerw, nie wiedząc nawet, jak to szkodliwie oddziałuje na organizm. Przyzwyczaili się przylecać przy warsztacie byle co „na chybicka”, a dopiero po powrocie do domu napychać się za cały dzień.

Nie zamierzam pisać pesnów na cześć istniejących stołówek, ani też na temat żywienia zbiorowego w ogóle, ale trzeba przecież zdać sobie sprawę, że w naszych warunkach rozwijanie tej formy jest niezbędne. Dziś już tylko w niewielu rodzinach mamy „rezydentki”, zajmujące się gospodarstwem domowym. Na ogół wszyscy członkowie rodziny spędzają czas poza domem, pracując lub ucząc się. W tej sytuacji tylko żywienie zbiorowe może zaspokoić właściwe potrzeby konsumpcyjne społeczeństwa. Takie jest prawo czasu.

III. Względy ekonomiczno-finansowe.

Stołówki pracownicze są interesem deficytowym, co sprowadza się do powiększenia budżetów państwa. Nawet w ZPB im. Marchlewskiego moi rozmówcy skarżą

się, że „Zjednoczenie szarpię nas za deficyt”. A przecież sprawa wygląda tak, że w całości OZR jest placówką dochodową i z zysków z przetwórstwa oraz ze sprzedaży pokrywa deficyt stołówki, nikt więc nie powinien mieć do nich pretensji.

Dopłaty państwa do stołówek pracowniczych wynoszą obecnie w skali krajowej około 25 mln złotych. Specjalna uchwała prezydium rządu z 29 kwietnia br. ustala, że w roku 1967 dotacja ta zostanie zmniejszona o 8 milionów, zaś w 1968 — o 16 milionów złotych. Na skale całego kraju są to sumy groszowe, niemniej specjalności od organizacji żywienia zbiorowego przewidują, że ta operacja oszczędnościowa spowoduje likwidację wielu stołówek. A ilość ich przecież i dzisiaj jest doprawdy symboliczna.

Zaś już na paradoks grubszego kalibru zakrawa fakt, że Łódź, przy najwyższej liczbie zatrudnionych kobiet, ma najmniejszą procentowo — wśród innych miast kraju — ilość stołówek pracowniczych.

Przystępując do pracy nad tym artykułem, pragnęliśmy po prostu zbadać sytuację w łódzkich stołówkach, zapoznać się z opiniami stołowników, gdy chodzi o jakość posiłków, czystość, kulturę obsługi, itp.

Wbrew pierwotnym intencjom, artykuł rozrósł się, a temat skłonił nas do wielokierunkowych refleksji. Nie mogło być inaczej, skoro żywienie zbiorowe pracowników stanowi dziś węzeł gordyjski, którego nie sposób rozsupłać bez radykalnych cięć.

JULIAN BRYSZ

W tym miejscu właśnie dochodzimy do sedna wszystkich trudności i nieporozumień, nagromadzonych wokół spraw żywienia zbiorowego w zakładach pracy. Sprawa ta, warta na pewno zachodu, warta parcia, kuleje z wielu powodów. Nakładają się tutaj kwestie tradycji obywatelskiej, błędów organizacji życia społecznego, a na koniec — względy ekonomiczno-finansowe. Każdej z tych kwestii wrócić poświęcić parę słów.

I. Tradycje.

— Jakaż to korzyść ze stołówki? — powiedziała mi jedna z robotnic. — Żadna, proszę pana. Ja bym nie śmiała meza ani dzieci na państwowy wikt posyłać, bo co oni tam zjedzą? Jak w domu napełni dworski garnek zupy, to wiem, że wszyscy będą mieli dosć.

Podobne wypowiedzi powtarzały się częściej. Z niektórych przemawiała anachroniczna dumna, jakby w rodzaju: „Taka biedna to ja nie jestem, żeby się po stołówkach włóczyć”. Inne kobiety dla odmiany wyrażały opinie, że jednak wyżywienie w domu kalkuluje się najtańiej. Charakterystyczne, że nikt nie brał pod uwagę całej udreki, związanej z przygotowywaniem posiłków w domu. Żadnej z moich rozmówczyń nie przyszło na myśl, że dziecko może wolałoby skromniejszy obiad, ale w porę. Przeciętna robotnica łódzka po zmianie dziennej wychodzi z pracy o godz. 14. Zakupy i przygotowanie obiadu zajmują minimum 2 godziny czasu. Rodzina może więc zasiać do „dworskiego garnka” nie wcześniej niż o czwartej. Zaś pracując na zmianie popołudniowej, kobieta w ogóle nie ma czasu zrobić obiadu.

II. Organizacja życia.

Piećdziesiąt lat temu robotnik pracował 12 godzin na dobie, ale miał przerwę na śniadanie, obiad i niekiedy nawet na podwieczorek. Pomijał sprawę, co mógł sobie kupić do jedzenia za zarobione pieniądze, ważny jest dla mnie w tej chwili fakt, że istniała jakaś organizacja, dzielaca dzień

między pracę, posiłki i wypoczynek. Dziś mamy prawem zastrzeżony przywilej 8-godzinnego dnia pracy. W praktyce utarło się, że jest to 8 godzin bez przerwy, co stanowi anachronizm z punktu widzenia fizjologii. Kto widział człowieka, który potrafi dzień w dzień wytrzymać 8 godzin bez jedzenia? Możemy domstawać przeciw obskurantkiej praktyce napychania się bułką z kiełbasą, zważmy jednak, czy robotnik, goniony przez maszynę, ma jeszcze jakieś inne wyjście do wyboru? Niestety, nie ma.

Ludzie przyzwyczaili się już do 8-godzinnej pracy bez przerw, nie wiedząc nawet, jak to szkodliwie oddziałuje na organizm. Przyzwyczaili się przylecać przy warsztacie byle co „na chybicka”, a dopiero po powrocie do domu napychać się za cały dzień.

Nie zamierzam pisać pesnów na cześć istniejących stołówek, ani też na temat żywienia zbiorowego w ogóle, ale trzeba przecież zdać sobie sprawę, że w naszych warunkach rozwijanie tej formy jest niezbędne. Dziś już tylko w niewielu rodzinach mamy „rezydentki”, zajmujące się gospodarstwem domowym. Na ogół wszyscy członkowie rodziny spędzają czas poza domem, pracując lub ucząc się. W tej sytuacji tylko żywienie zbiorowe może zaspokoić właściwe potrzeby konsumpcyjne społeczeństwa. Takie jest prawo czasu.

III. Względy ekonomiczno-finansowe.

Stołówki pracownicze są interesem deficytowym, co sprowadza się do powiększenia budżetów państwa. Nawet w ZPB im. Marchlewskiego moi rozmówcy skarżą



się, że „Zjednoczenie szarpię nas za deficyt”. A przecież sprawa wygląda tak, że w całości OZR jest placówką dochodową i z zysków z przetwórstwa oraz ze sprzedaży pokrywa deficyt stołówki, nikt więc nie powinien mieć do nich pretensji.

Dopłaty państwa do stołówek pracowniczych wynoszą obecnie w skali krajowej około 25 mln złotych. Specjalna uchwała prezydium rządu z 29 kwietnia br. ustala, że w roku 1967 dotacja ta zostanie zmniejszona o 8 milionów, zaś w 1968 — o 16 milionów złotych. Na skale całego kraju są to sumy groszowe, niemniej specjalności od organizacji żywienia zbiorowego przewidują, że ta operacja oszczędnościowa spowoduje likwidację wielu stołówek. A ilość ich przecież i dzisiaj jest doprawdy symboliczna.

Zaś już na paradoks grubszego kalibru zakrawa fakt, że Łódź, przy najwyższej liczbie zatrudnionych kobiet, ma najmniejszą procentowo — wśród innych miast kraju — ilość stołówek pracowniczych.

Przystępując do pracy nad tym artykułem, pragnęliśmy po prostu zbadać sytuację w łódzkich stołówkach, zapoznać się z opiniami stołowników, gdy chodzi o jakość posiłków, czystość, kulturę obsługi, itp.

Wbrew pierwotnym intencjom, artykuł rozrósł się, a temat skłonił nas do wielokierunkowych refleksji. Nie mogło być inaczej, skoro żywienie zbiorowe pracowników stanowi dziś węzeł gordyjski, którego nie sposób rozsupłać bez radykalnych cięć.

JULIAN BRYSZ

W tym miejscu właśnie dochodzimy do sedna wszystkich trudności i nieporozumień, nagromadzonych wokół spraw żywienia zbiorowego w zakładach pracy. Sprawa ta, warta na pewno zachodu, warta parcia, kuleje z wielu powodów. Nakładają się tutaj kwestie tradycji obywatelskiej, błędów organizacji życia społecznego, a na koniec — względy ekonomiczno-finansowe. Każdej z tych kwestii wrócić poświęcić parę słów.

I. Tradycje.

— Jakaż to korzyść ze stołówki? — powiedziała mi jedna z robotnic. — Żadna, proszę pana. Ja bym nie śmiała meza ani dzieci na państwowy wikt posyłać, bo co oni tam zjedzą? Jak w domu napełni dworski garnek zupy, to wiem, że wszyscy będą mieli dosć.

Podobne wypowiedzi powtarzały się częściej. Z niektórych przemawiała anachroniczna dumna, jakby w rodzaju: „Taka biedna to ja nie jestem, żeby się po stołówkach włóczyć”. Inne kobiety dla odmiany wyrażały opinie, że jednak wyżywienie w domu kalkuluje się najtańiej. Charakterystyczne, że nikt nie brał pod uwagę całej udreki, związanej z przygotowywaniem posiłków w domu. Żadnej z moich rozmówczyń nie przyszło na myśl, że dziecko może wolałoby skromniejszy obiad, ale w porę. Przeciętna robotnica łódzka po zmianie dziennej wychodzi z pracy o godz. 14. Zakupy i przygotowanie obiadu zajmują minimum 2 godziny czasu. Rodzina może więc zasiać do „dworskiego garnka” nie wcześniej niż o czwartej. Zaś pracując na zmianie popołudniowej, kobieta w ogóle nie ma czasu zrobić obiadu.

II. Organizacja życia.

Piećdziesiąt lat temu robotnik pracował 12 godzin na dobie, ale miał przerwę na śniadanie, obiad i niekiedy nawet na podwieczorek. Pomijał sprawę, co mógł sobie kupić do jedzenia za zarobione pieniądze, ważny jest dla mnie w tej chwili fakt, że istniała jakaś organizacja, dzielaca dzień

między pracę, posiłki i wypoczynek. Dziś mamy prawem zastrzeżony przywilej 8-godzinnego dnia pracy. W praktyce utarło się, że jest to 8 godzin bez przerwy, co stanowi anachronizm z punktu widzenia fizjologii. Kto widział człowieka, który potrafi dzień w dzień wytrzymać 8 godzin bez jedzenia? Możemy domstawać przeciw obskurantkiej praktyce napychania się bułką z kiełbasą, zważmy jednak, czy robotnik, goniony przez maszynę, ma jeszcze jakieś inne wyjście do wyboru? Niestety, nie ma.

Ludzie przyzwyczaili się już do 8-godzinnej pracy bez przerw, nie wiedząc nawet, jak to szkodliwie oddziałuje na organizm. Przyzwyczaili się przylecać przy warsztacie byle co „na chybicka”, a dopiero po powrocie do domu napychać się za cały dzień.

Nie zamierzam pisać pesnów na cześć istniejących stołówek, ani też na temat żywienia zbiorowego w ogóle, ale trzeba przecież zdać sobie sprawę, że w naszych warunkach rozwijanie tej formy jest niezbędne. Dziś już tylko w niewielu rodzinach mamy „rezydentki”, zajmujące się gospodarstwem domowym. Na ogół wszyscy członkowie rodziny spędzają czas poza domem, pracując lub ucząc się. W tej sytuacji tylko żywienie zbiorowe może zaspokoić właściwe potrzeby konsumpcyjne społeczeństwa. Takie jest prawo czasu.

III. Względy ekonomiczno-finansowe.

Stołówki pracownicze są interesem deficytowym, co sprowadza się do powiększenia budżetów państwa. Nawet w ZPB im. Marchlewskiego moi rozmówcy skarżą

się, że „Zjednoczenie szarpię nas za deficyt”. A przecież sprawa wygląda tak, że w całości OZR jest placówką dochodową i z zysków z przetwórstwa oraz ze sprzedaży pokrywa deficyt stołówki, nikt więc nie powinien mieć do nich pretensji.

Dopłaty państwa do stołówek pracowniczych wynoszą obecnie w skali krajowej około 25 mln złotych. Specjalna uchwała prezydium rządu z 29 kwietnia br. ustala, że w roku 1967 dotacja ta zostanie zmniejszona o 8 milionów, zaś w 1968 — o 16 milionów złotych. Na skale całego kraju są to sumy groszowe, niemniej specjalności od organizacji żywienia zbiorowego przewidują, że ta operacja oszczędnościowa spowoduje likwidację wielu stołówek. A ilość ich przecież i dzisiaj jest doprawdy symboliczna.

Zaś już na paradoks grubszego kalibru zakrawa fakt, że Łódź, przy najwyższej liczbie zatrudnionych kobiet, ma najmniejszą procentowo — wśród innych miast kraju — ilość stołówek pracowniczych.

Przystępując do pracy nad tym artykułem, pragnęliśmy po prostu zbadać sytuację w łódzkich stołówkach, zapoznać się z opiniami stołowników, gdy chodzi o jakość posiłków, czystość, kulturę obsługi, itp.

Wbrew pierwotnym intencjom, artykuł rozrósł się, a temat skłonił nas do wielokierunkowych refleksji. Nie mogło być inaczej, skoro żywienie zbiorowe pracowników stanowi dziś węzeł gordyjski, którego nie sposób rozsupłać bez radykalnych cięć.

JULIAN BRYSZ

W tym miejscu właśnie dochodzimy do sedna wszystkich trudności i nieporozumień, nagromadzonych wokół spraw żywienia zbiorowego w zakładach pracy. Sprawa ta, warta na pewno zachodu, warta parcia, kuleje z wielu powodów. Nakładają się tutaj kwestie tradycji obywatelskiej, błędów organizacji życia społecznego, a na koniec — względy ekonomiczno-finansowe. Każdej z tych kwestii wrócić poświęcić parę słów.

I. Tradycje.

— Jakaż to korzyść ze stołówki? — powiedziała mi jedna z robotnic. — Żadna, proszę pana. Ja bym nie śmiała meza ani dzieci na państwowy wikt posyłać, bo co oni tam zjedzą? Jak w domu napełni dworski garnek zupy, to wiem, że wszyscy będą mieli dosć.

Podobne wypowiedzi powtarzały się częściej. Z niektórych przemawiała anachroniczna dumna, jakby w rodzaju: „Taka biedna to ja nie jestem, żeby się po stołówkach włóczyć”. Inne kobiety dla odmiany wyrażały opinie, że jednak wyżywienie w domu kalkuluje się najtańiej. Charakterystyczne, że nikt nie brał pod uwagę całej udreki, związanej z przygotowywaniem posiłków w domu. Żadnej z moich rozmówczyń nie przyszło na myśl, że dziecko może wolałoby skromniejszy obiad, ale w porę. Przeciętna robotnica łódzka po zmianie dziennej wychodzi z pracy o godz. 14. Zakupy i przygotowanie obiadu zajmują minimum 2 godziny czasu. Rodzina może więc zasiać do „dworskiego garnka” nie wcześniej niż o czwartej. Zaś pracując na zmianie popołudniowej, kobieta w ogóle nie ma czasu zrobić obiadu.

II. Organizacja życia.

Piećdziesiąt lat temu robotnik pracował 12 godzin na dobie, ale miał przerwę na śniadanie, obiad i niekiedy nawet na podwieczorek. Pomijał sprawę, co mógł sobie kupić do jedzenia za zarobione pieniądze, ważny jest dla mnie w tej chwili fakt, że istniała jakaś organizacja, dzielaca dzień

między pracę, posiłki i wypoczynek. Dziś mamy prawem zastrzeżony przywilej 8-godzinnego dnia pracy. W praktyce utarło się, że jest to 8 godzin bez przerwy, co stanowi anachronizm z punktu widzenia fizjologii. Kto widział człowieka, który potrafi dzień w dzień wytrzymać 8 godzin bez jedzenia? Możemy domstawać przeciw obskurantkiej praktyce napychania się bułką z kiełbasą, zważmy jednak, czy robotnik, goniony przez maszynę, ma jeszcze jakieś inne wyjście do wyboru? Niestety, nie ma.

Ludzie przyzwyczaili się już do 8-godzinnej pracy bez przerw, nie wiedząc nawet, jak to szkodliwie oddziałuje na organizm. Przyzwyczaili się przylecać przy warsztacie byle co „na chybicka”, a dopiero po powrocie do domu napychać się za cały dzień.

Nie zamierzam pisać pesnów na cześć istniejących stołówek, ani też na temat żywienia zbiorowego w ogóle, ale trzeba przecież zdać sobie sprawę, że w naszych warunkach rozwijanie tej formy jest niezbędne. Dziś już tylko w niewielu rodzinach mamy „rezydentki”, zajmujące się gospodarstwem domowym. Na ogół wszyscy członkowie rodziny spędzają czas poza domem, pracując lub ucząc się. W tej sytuacji tylko żywienie zbiorowe może zaspokoić właściwe potrzeby konsumpcyjne społeczeństwa. Takie jest prawo czasu.

III. Względy ekonomiczno-finansowe.

Stołówki pracownicze są interesem deficytowym, co sprowadza się do powiększenia budżetów państwa. Nawet w ZPB im. Marchlewskiego moi rozmówcy skarżą

się, że „Zjednoczenie szarpię nas za deficyt”. A przecież sprawa wygląda tak, że w całości OZR jest placówką dochodową i z zysków z przetwórstwa oraz ze sprzedaży pokrywa deficyt stołówki, nikt więc nie powinien mieć do nich pretensji.

Dopłaty państwa do stołówek pracowniczych wynoszą obecnie w skali krajowej około 25 mln złotych. Specjalna uchwała prezydium rządu z 29 kwietnia br. ustala, że w roku 1967 dotacja ta zostanie zmniejszona o 8 milionów, zaś w 1968 — o 16 milionów złotych. Na skale całego kraju są to sumy groszowe, niemniej specjalności od organizacji żywienia zbiorowego przewidują, że ta operacja oszczędnościowa spowoduje likwidację wielu stołówek. A ilość ich przecież i dzisiaj jest doprawdy symboliczna.

Zaś już na paradoks grubszego kalibru zakrawa fakt, że Łódź, przy najwyższej liczbie zatrudnionych kobiet, ma najmniejszą procentowo — wśród innych miast kraju — ilość stołówek pracowniczych.

Przystępując do pracy nad tym artykułem, pragnęliśmy po prostu zbadać sytuację w łódzkich stołówkach, zapoznać się z opiniami stołowników, gdy chodzi o jakość posiłków, czystość, kulturę obsługi, itp.

Wbrew pierwotnym intencjom, artykuł rozrósł się, a temat skłonił nas do wielokierunkowych refleksji. Nie mogło być inaczej, skoro żywienie zbiorowe pracowników stanowi dziś węzeł gordyjski, którego nie sposób rozsupłać bez radykalnych cięć.

JULIAN BRYSZ

Opracował: J. SKOSZK

SLAWOMIR ŚWIONTEK

Pisarstwo zaskoczenia i niespodzianki

Wybór opowiadań Wandy Karczewskiej wydanych przez Wydawnictwo Łódzkie w tomie pt. „Partia golfa”¹⁾ obejmuje utwory pisane przez autorkę w dziesięciolecie 1955-65. Szesć zawartych tu opowiadań różni od siebie zarówno tematyka jak i konwencja pisarska. Od „realistycznego” „Dzbanka mleka” poprzez „kafkowską” koncepcję „Rezerwatu” i „Włosa Dulcinei” aż do utrzymanego w konwencji monologu wewnętrzznego opowiadania tytułowego — oto skala technik pisarskich, stosowanych przez Karczewską w omawianym zbiorze opowiadań.

Poszukiwania formalne Wandy Karczewskiej wydają się wynikać z kilku co najmniej powodów. Często jest to brak zaufania do możliwości narracji epicznej — stąd stosowanie przez autorkę monologu wewnętrznego, mowy pozornie zależnej (jak w opowiadaniu „Partia golfa”). Innym razem powodem stało się zakwestionowanie przez twórcę autentyczności stwarzanych postaci, ich słów i przeżyć — stąd konwencja „relacji o relacji” zastosowanej w mikropowieści „Weekend w Riverside”. Czasami bogactwo znaczeń utworu i jego świadomie zamierzona wieloznaczność dyktuje Karczewskiej odstępstwo od konwencji realistycznej na rzecz konstrukcji planu metaforycznego. Ten ostatni model widoczny jest w takich opowiadaniach, jak np. „Włosa Dulcinei”, „Kto z was widział Henryka”, czy „Rezerwat”. Jeszcze w innym wypadku impresyjny charakter utworu determinuje liryzację narracji epicznej. Tutaj przykładem może być obraz prozaiczny pt. „Pisica”.

Charakterystyczne dla Karczewskiej jest widzenie i prezentacja bohaterów jej utworów. Niekiedy zawsze sylwetki ich rysowane są przez autorkę jak ekrany porzuczone przemat ich własnej przeszłości. Wspomnienia ich są znakami, których piękno wyciska się na postępowaniu i motywacji działań postaci. Taka postawa autorska stała się przyczyną eksperymentów na płaszczyźnie czasowej opowiadań. Najdobitniejszym przykładem obciążenia przeszłością bohatera znajdujemy w opowiadaniu tytułowym. Pod względem tematycznym związane jest ono z niedawno wydaną przez Karczewską powieścią „Weekend w Riverside”. Oba te utwory wyrosły z doświadczeń autorki związanych z jej pobytom w Stanach Zjednoczonych. W sposobie konstrukcji postaci „Partii golfa” Karczewska posunęła się o krok dalej w stosunku do „Weekendu”. Bohater-narrator „Partii golfa” jest, podobnie jak bohaterka „Weekendu” obciążony przeszłością, doświadczeniami wyniesionymi z lat dzieciństwa i młodości. Zostaje on jednak tutaj skonfrontowany z postaciami, z bohaterem, który świadomie narzucił sobie odciecie się od własnej przeszłości. Porzecz konfrontacja autorka stara się odmalować dramata postaci i namietności, którego uogólnienia rozgrywa się na płaszczyźnie o wiele szerszej: na planie historycznym, społecznym i politycznym.

Czytelnik znajdzie w pisarstwie Karczewskiej coś, co zawsze potrafi go zaskoczyć, dać mu wrażenie niespodzianki i nowości. Wynika to zarówno z bogactwa treściowego jej utworów, jak i z kameleonowej zmienności układów formalnych. O bohaterce „Rezerwatu” — jednego z najlepszych opo-

wiadań w książce — mówi jedna z postaci: „Jesteś głodna, blakasz się, zamysłasz się, wyciągasz niepewnie ręce, szukając drogi do omacku, mówisz cicho”. Utwory Karczewskiej świadczą o jej zarliwej pasji twórczej, ustawicznym poszukiwaniu, które jeśli nawet jest jeszcze blakaniem się, to na pewno nie podroża w nieznane. Świadczą o tym może przebijający zawsze z kart jej książek uparty samokrytycyzm i dystans do samej siebie jako twórcy. Być może następne jej dzieło będzie odpowiedzią na pytanie, które stawia sobie autorka ustami bohaterki „Rezerwatu”: „Dokąd to wracam i gdzie przebywam w głębinach nocy, jakiego pokarmu szukam, kogo szukam w tamtym, nie pamiętanym przecież już człowieku, jakiej nie istniejącej na świecie miłości?”.

¹⁾ Wanda Karczewska: „Partia golfa”; Wydawnictwo Łódzkie, 1966; str. 236, cena zł 14.



WŁADYSŁAW ANDRZEJ KEMPA

Panorama łódzkiego śmiechu

W książce tej nie szukać błyskotliwego żartu, pięknych wierszy i wybitniejszych treści. W przedstawił autor sam zapowiada: „Ci wszyscy, którzy sięgną po tę książkę tylko dlatego, że tęsknią za beztróskim żartem, jakby to powiedzieć, marzą o „beźce śmiechu” — niech ją od razu odłożą. Nie dla nich jest przeznaczona. Kilka rozdziałów w niej uśmiechów będzie tylko nagrodą dla cierpliwych i wyrozumiałych czytelników”.

Mimo tych niezachęcających zapowiedzi temat, podjęty przez autora omawianej tu książki, wart jest bliższej uwagi i zainteresowania właśnie w naszym mieście. W ciekawej gawędzie literacko-obyczajowej Janusza Dunina^{*)} oddany został bardzo komunikatywny klimat dni oddalonych o przeszłe półwiecze gust i styl epoki, poprzedzającej wybuch Wielkiej Wojny 1914-1918 r.

Nie od dziś wiadomo, że daleko więcej prawd życiowych i bezpośrednich relacji o życiu codziennym tkwi nie na kartach wielkiej literatury, lecz właśnie w fraszkach, humoreskach, satyrach i dowcipach pisemek humorystycznych. One są probieżem opinii publicznej, one osadzają takie czy inne anomalie życia społecznego epoki. Nie należy więc negować ich znaczenia tylko dlatego, że są artystycznie niedoskonałe a realia w nich omawiane giną często w niepamięć.

Czytelnikiem tych efemerycznych pisemek humorystycznych, omawianych w książce Dunina, nie był zapewne wyrafinowany smakosz literacki, abonent „Sfinksa” czy „Chimery”. Satyryczne kalendarze Głiszczyńskiego i kuplety kabaretowe czy nawet tygodnik „Śmiech” częściej trafiały do rąk rzemieślników i tkaczy, studentów i panien służących, aniżeli do buduarów pięknych pań z towarzysstwa. Ba, ci właśnie prosił ludzi, do których adresowane były niewybredne koncepty wierszowanych rametek, próbowali swych sił, składając naiwne i proste teksty z przedstawieniem własnego widzenia rzeczywistości. Teksty te po jakimś takim redakcyjnym wyglądzeniu trafiały często na łamy pism humorystycznych. Oni byli również dostawcami pomysłów i bohaterami tekstów, opracowywanych dla potrzeb czasopisma przez trzeciordzędnych literatów, których nazwiska nie zostały zapisane w dziejach literatury ojezycznej.

Najstarszym przejawem łódzkiego śmie-

chu jest niewybredna ramotka grafomana warszawskiego Sotera Rozmiara Rozbickiego, dworująca sobie ze zbieżności oznajmienia „Jestem z Łodzi” z podobnie słuchowo brzmiącym wyznaniem „Jestem złodziej”. Pierwsze próby satyrycznego spojrzenia na rzeczywistość łódzką umiejscawia autor na łamach „Dziennika Łódzkiego”, gdzie Lucjan Kościelski ogłaszał w felietonie zabawne szczegóły z życia miasta. Na dalszych kartach książki znajdujemy co ciekawsze plody satyrycznej Muzy „Łódzkiego Beranżera” Artura Głiszczyńskiego, zbyt może surowo ocenionego przez autora gawędy. Schyłek „wieku pary i elektryczności” przyniósł sporą ilość kalendarzy i wydawnictw humorystycznych, ogłaszanych w Łodzi, a zawierających wiersze i dowcipy o tematyce lokalnej, demaskujące niektóre bolączki życia społecznego w polskim Manchesterze.

Poziom artystyczny omawianych w książce utworów pseudopoezyjnych jest niski, twórcy operowali wysłowionymi pomysłami i porównaniami, rytmem patrolował pewnie słynny ksiądz Baka i jego częstochowski naśladowcy. Sytuacja zmieniła się na korzyść od roku 1912, kiedy to pojawiło się w Łodzi pierwsze czasopismo satyryczne z prawdziwego zdarzenia „Śmiech”, ale i wówczas górę nad ogłaszającymi tam tekstami brały znakomite rysunki i karykatury Przybylskiego i Szyka. Tym niemniej warta jest bliższej uwagi sugestia Dunina, że być może w tym właśnie „Śmiechu” pojawiły się nie podpisane, więc do dziś dnia nie ujawnione, pierwsze satyryczne wiersze Juliana Tuwima.

I tak zbliżyliśmy się do końca uroczej książeczki Dunina, do miejsca, gdzie autor pokrótce scharakteryzował młodzieńczą twórczość Tuwima wydobytą z łódzkich jednodziówek i pism codziennych oraz jego współpracę z kabaretem literackim „Bi-Ba-Bo”, znajdującym wówczas przytulisko w popularnym hotelu „Savoy”. W znanych mi fragmentach wspomnień Konrada Toma i Artura Szyka udział Tuwima w przygotowywaniu kolejnych programów artystycznych był szczególnie podkreślony, co wskazuje dla biografistyki Tuwimowskiej wdziance pole do dalszych poszukiwań.

Szkic Dunina spełnia chyba zadanie jaka informacja o problemie stojącym przed historią literatury polskiej. Zwroć uwagę na te niedoceniane dotąd dziedziny twórczości literackiej i wydobyć z niej rzetelną wiedzę poznawczą o życiu pokolenia stanowi główną zasługę autora.

I jeszcze jedno. Duże uznanie dla Wydawnictwa Łódzkiego, które uzupełniło ciekawą treść piękną oprawą edytorską. Podobnie jak widać z papieru i lakierowana okładka projektu znanego artysty-grafika Stanisława Grakowskiego, popularnego Ibsa oraz nierozłącznie z treścią związane wyklejki naśladowane zeszlowieczne druki reklamowe. Zastosowanie w tej książce dwuszpaltowego, jak w ówczesnych pismach satyrycznych, układu kolumn, jest bardzo ciekawym eksperymentem wydawniczym, który zasługuje na szczególne podkreślenie. Duża ilość ilustracji i dobre rozważania graficzne podnoszą artystyczną rangę publikacji. Gorąco więc polecam książkę Dunina na ciepłe letnie wieczory, kiedy to w blaskach zachodzącego słońca zechcecie, mili czytelnicy, poznać genealogię łódzkiego śmiechu.

^{*)} Janusz Dunin: W Bi-Ba-Bo i gdzie indziej. O humorze i satyrze z Miałostki do Rozbickiego do Tuwima. Łódź 1966 Wyd. Łódzkie 8° ss. 83, nłb. 5, cena zł 25,00.

BOLESŁAW DUDZIŃSKI

Cienniste drogi żywota

Kazimierz Kowalski, kierownik działu literackiego rozgłośni PR w Opolu, debiutował w 1956 r. tomem opowiadań „Urodził się człowiek”. W latach późniejszych wydał jeszcze trzy zbiory opowiadań oraz powieść „Partyzant nie składa broni” (1964), której bohaterem jest młody chłopiec — b. partyzant, angażujący się czynnie i gorliwie, zaraz po wojnie, w niełatwe dzieło budowy nowej rzeczywistości kraju.

Obecnie ukazała się druga z kolei powieść Kazimierza Kowalskiego — „POŚRODKU

ŁASU”^{*}. Składa się ona z czterech jakby autonomicznych części związanych z sobą tożsamością lokalizacji w jakimś leśnym zakątku Opolszczyzny. Ponadto daje się tu wykryć podobieństwo osobistych losów czworga bohaterów tych odrębnych części książki. Jest zresztą również jej część piąta, ale o niej będzie mowa dalej. Co się tyczy tych pierwszoplanowych osób narracji, są to ludzie srodze doświadczeni przez wypadki wojenne, obciążeni urazami cielekich przeżyć tamtych lat. Próbuja oni, nie bez wysiłku, stworzyć sobie nowe warunki istnienia, pragną naprawić i wyprostować swe okaleczone i zwichnięte życie, ale ten proces regeneracji zakłócała uciążliwa ciemnota, fanatyzm i zawiść otoczenia.

Zadnej z czterech części książki autor nie zamyka konkretnym finałem. Nie kładzie ostatniej kropki, pozostawia bieg spraw raczej w zawieszeniu. Nie wiemy przecież, czy Ruśniak odbuduje swoje szczęście rodzinne, nie wiemy, jak potoczą się życiowe koleje Rusakowej, tej femme incomprise z leśnego zaścianka, nie moglibyśmy w sposób zdecydowany określić przyszłości pozostałych dwóch protagonistów. Ale w tym miejscu właśnie czas powiedzieć coś o piątej części książki Kowalskiego, zatytułowanej: „Suplement”. Według zapowiedzi autora ma on przynieść uzupełnienie luk i niedopowiedzeń poprzedzającej go narracji, ma więc rzucić dodatkowe światło na postaci bohaterów. Lecz w dość pomysłowo skom-



struowanym „Suplementem” ta zapowiedź autorska realizuje się tylko w niewielkim stopniu, pozostawiając niektóre sprawy nadal we mgłach tajemnicy. Znajdujemy natomiast w „Suplementie” rzeczy zola marginesowe, a nawet wręcz zbędne. W ogólniejszym zaś „Suplement”, obejmujący lata 1944-1959, zawiera coś w rodzaju bardzo szkieletowego odbicia sytuacji Ziemi Odzyskanych w tym okresie, która, rzecz prosta, w rysach zasadniczych była ściśle uzależniona od przemian i fluktuacji w kontekście ogólnokrajowym. Nie ma więc w tym suplementowym odbiciu nic nowego ani rewelacyjnego, nie mówiąc, czego byśmy już o Ziemiach Odzyskanych nie wiedzieli z literackich świadectw Paukiszty, Szewczyka, Danuty Biełkowskiej i innych pisarzy, zajmujących się problematyką obszarów reintegrowanych.

Miałbym trochę zastrzeżeń co do wiarygodności pewnych podanych przez autora realiów. Chodzi mi zwłaszcza o ten francuski epizod Nikisza, gdzie znalazł się m. in. zbyt idylliczny, jak sadze, obraz fraternalnej niemieckiej załogi jakiegoś magazynu wojkowego z ludnością pobliskiej wsi. Oczywiście, nie każda wieś francuska spotkała los słynnej Oradour-sur-Glane, ale bądź co bądź mundur niemiecki oznaczał dla Francuzów wroga, choćby nawet wyjątkowo przydzwiałal porządny — w sensie osobistym — człowiek. Poza tym, jakosdzownie mi wygląda, że gajowy Nowak rozmawia z miastową damą niemal literackim językiem, a stary chłop z Kielecczyny, w liście do syna, stara się, nie bez pewnego sukcesu, tego Nowaka naśladować.

Wydaje mi się, że — mimo takich czy innych usterek — „Pośrodku lasu” należy traktować jako interesującą próbę przełamania pewnych psychologicznych i fabularnych szablonów powieściowych. Takie eksperymenty zawsze są pożyteczne i godne pochwały, na którą autor „Pośrodku lasu” również sobie zasłużył.

^{*} „Wydawnictwo Łódzkie”, str. 163 i 4 nłb., cena 11 zł.



EWA SIEMINSKA

Humor z egzaminów wstępnych

W tym okresie Hugo Kollataj napisał „Do prześwietłej reputacji”.

— Głęboko zaangażowanym w sprawy swego kraju jest pisarz-samouk A. Rudnicki.

— Możemy więc powiedzieć, że literatura zawsze towarzyszy zachodzącym stosunkom.

— Nie piszę wierszem i dlatego zmuszona byłam pozabawić dygresji uroczej poimty.

— Kochanowski był twórcą pierwszego alfabetu polskiego.

— Hugo Kollataj był pracownikiem kulturalno-oświatowym.

— Twórczość swą rozpoczął Kochanowski pracą przetwórczą.

— Niezrównanym przedstawicielem naszej rodzimej epoki Odrodzenia jest Jan Kochanowski, inaczej mówiąc stary, poczciwy Jan z Czarnolasu.

— Będąc poza granicami kraju (Jan Kochanowski) spotyka wielu wielkich myślicieli, filozofów i twórców, między innymi Dantego Aligarkiego.

— Literatura oddycha. Czy zastanowiliście się kiedyś nad tym, że przedmioty oddychają?

— Żeromski pracował jako gubernator na dworach królewskich.

— Słowacki nawołuje naród, żeby zrzucił koszulkę z Dejaniry.

— Twórczość Dąbrowskiej nie zawiera głębszych problemów.

— Ostatni z Jagiellonów to Kazimierz Wielki.

— Powiedzenie: „Jam milion, bo za miliony Kocham i cierpię katusze” będzie dla współczesnego czytelnika bardzo niesmaczne.

— „Potop”, „Faraon”; Quo vadis? to utwory, w których Sienkiewicz ukazał...

— KPP działała w XVIII wieku.

— Na każdej niemal ulicy Warszawy wycierają na nas oczy ludzkie.

— Leningrad nosił dawniej nazwę Wolograd.

— Aristokracja nie interesuje się losami narodu, krzywdą, wyzyskiem. To są według nich sprawy nieciekawce, mało atrakcyjne. Obużra nas ta postawa.

— Wiele z jego utworów odbijało się rezonansem w społeczeństwie.

— Ulubionym miejscem pracy poety była lipa.

— Powstanie warszawskie w czasie ostatniej wojny? Nie — nie słyszałam nigdy o takim powstaniu.

— W utworze tym autor ukazuje heroikę głównego bohatera.

— Jan Kochanowski był bezprzykładnym wprost człowiekiem Odrodzenia.

— Różnie bywa na świecie, ale chyba wiersze nie zrobiły jeszcze z dobrego zło-czynicy.

— Literatura zaangażowana to literatura nagięta do pewnych tendencji, służąca ściśle określonym celom. Literatura na przestrzeni swych dziejów była zawsze zaangażowana i taką też jest w Polsce Ludowej. W przeciwnym wypadku nie miałaby racji bytu.

— Jego piękno (klasycznego świata) urzeka poetów włoskich. Pod jego urokiem spoczywa nieśmiertelny Dante.

— Urzująca była świetnie zapowiadająca się pisarka.

— „Odprawa posłów greckich” jest pierwszą powieścią napisaną w języku polskim.

— Jan z Czarnolasu jest także autorem pierwszego

polskiego dramatu „Powrót postać”.

— I właśnie wtedy na „arenę” wychodzą pisarze, nasze chluby narodu.

— Zastanawiając się dłużej nad sytuacją, w jakiej znajdowała się Polska, nie można sobie uświadomić, że życie w ogóle istniało. Że przymierał głodem, ale wciąż marzył o wolności, o dobrobycie.

— Władysław Reymont w potężnej powieści pt. „Chłopi”.

— Kochanowski uważał, że nie zawadzi zainteresować się kobietą, jej urodą i wdziękiem.

— Do 1918 roku jesteśmy pod obcą okupacją, a później pod okupacją rządu sanacyjnego.

— W swoim dziele „O prawie Rzeczypospolitej” Andrzej Morsztyn przedstawił...

— Orzeszkowa w „Nad Niemnem” ukazuje przeobrażenie się wsi feudalnej w kapitalistyczną wraz z całym skomplikowanym splo-

tem personalnych przeobrażeń szlachty i chłopów.

— W średniowieczu ludzie zajmowali się życiem po śmierci.

— Wspólną taką cechą bohatera literackiego tego okresu był patriotyzm, do bierności rozżarzony patriotyzm.

— Były utwory pisane w języku francuskim lub włoskim, tzw. barbaryzmy i markonizmy.

— „Jeśli nie grzeszysz, jak mi powiadasz, czemu się miła tak często spowiadasz?”

— pytał Kochanowski damy siedzącej obok, a zanudzającej go swoją osobą.

— Predisponuje go (Jana Kochanowskiego) do zajęcia czołowego miejsca w naszej literaturze.

— Już w Odrodzeniu pojawiali się tacy publicyści jak Ostroróg, Modrzewski, czy Konarski.

— Władzę objął wtedy rząd sensacyjny.

— Największy wpływ na współczesnego człowieka mała z literatury polskiej książ-

JAN JANISZEWSKI

W sobotę 7 maja br. o godz. 10.15 wsiadłem w „Chopina” na Dworcu Gdańskim w Warszawie, a już o 7.50 nazajutrz znalazłem się w Wiedniu.

Nie wierzyłem swym oczom: chodniki były wyludnione, a na jezdniach sznur samochodów przypominał Lask. Swobodnie więc krążyłem ulicami handlowej dzielnicy, gapiąc się na wystawy sklepowe. Dużo na nich wszelkiego dobra, nawet za dużo. Ekspozycja bez powietrza — powiedziałaby plastyk z MHD. Reklama jest również przylaczająca, natrętna, staromodna i bardzo sexowa. Operuje się też bardzo chętnie znanymi chwytami, jak np. „biały tydzień”, „sprzedaż posezonowa”. Sex postawił swe akcenty zwłaszcza na akcesoriach desusowych. Natomiast wśród fotosów panuje pruderia, toteż nawet w gablotach strip-tease owego kina przy Mariahilferstrasse nagość gwiazd zatuszowano na odpowiednich poziomach anatomicznych. A może to tylko trick reklamowy?

Wyludnienie panowało nie tylko na traktach. Również w barokowym kościele Mariahilfer, przed którym uposażony się Haydn, mała grupka wiernych z zaciekawieniem przyglądała się bardziej skupionym turystom.

Niedzielnym nastrojem w handlu był pozorny. Automaty nie wywalczyły jeszcze odpoczynku świątecznego. Konkuruje więc dniem i nocą, zwłaszcza zaś z trafikami. Można również otrzymać od robotów handlowych poczochoy, koszule napoje, kanapki, gumę do żucia (łącznie z premią — pierścieniem odpustowym), w wielkim wyborze środki anty...

Półautomatami — skrzynkami uczciwości posługują się natomiast wydawnictwa prasowe.

Wśród napojów królują pepsi-cola i coca-cola. Szkoda że nie posługują się hasłem reklamowym Kornela Makuszyńskiego: „Czy Dentosan, czy Sandento wszystko jedno g... z mieta”. PT Czytelnika przeproszam bardzo za nieścisłość w określeniu surowca, coca-cola nie zawiera miety. W sklepach sądząc po wywieszkach, obsługują się klientów wiołojęzycznie. Najczęściej spotyka się „On perle francais” i „English spoken” znacznie zaś rzadziej obsługa włada włoskim, węgierskim i rosyjskim.

Obiad a tym samym pierwszy kontakt z jadłospisem, utwierdził mnie w przekonaniu o mądrości powiedzonka „austriackie gadanie” Uratować może tylko, w bardzo skromnym zresztą stopniu, znajomość języka francuskiego i angielskiego oraz intuicja. Najlepiej jednak posługiwać się palcem wskazującym obserwując pilnie, co podaje kelner sąsiadom. Trudno bowiem domyśleć się, że Palatschinken, to naleśniki, Baisers mit Schlagobers oznaczają chruski z bitą śmietaną, Fagas lub Fogos, to ryba (ponoć słowo zaczerpnięte z języka węgierskiego, jak wyjaśnia Duden). Bauernschmaus to — pogranicze gulaszu z rozmaitością wielogarnkowa chłopska (bardzo tłusta i obfite danie). Rindsuppe jest naszym rosółem na wołowinie. Osobny rozdział gastronomii stanowią Nockerln w królestwie klusek dorównujące swym zasięgiem książęce kucharskiej pani Cwerciakiewiczowej. Gastronomia jest szeroko „rozbranzowiona”, jakby ją określili nasz fachowcy. Jest więc wiele Keller (piwnice), Beisl (knajsna), Grill (zakład specjalizujący się w daniach z rusztu i z różną), Bierstube (piwiarnia), Weinstube (winiarnia), Liandstube (probiernia likierów). Najwięcej jest chyba barów kawowych, zwanych z włoska espresso. Podaje się w nich wszelkie trunki plus kanapki, ciastka i słodycze. Proszę mi darować tak obszerną dygresję gastronomiczną. Czas przecież zobaczyć Wiedeń.

Wiedeńscy nazywają swoją stolicę bardzo chętnie z łacińska Vienna lub Vindobona. Na szta zaś nazwa Wiedeń pochodzi chyba z języka słoweńskiego. Przetrwiała jeszcze, na przykład, w nazwie ulicy vis-à-vis dworca Wien-Süd — Wiedner Gürtel. Nie więc dziwnego, że stare krakusy, pamiętające czasy Franza-Josefa, mawiają o stolicy naddunajskiej W i e d e n. Należy chyba wspomnieć o źródle sympatii wiedeńczyków do łaciny. Przecież w około setnym roku Rzymianie założyli tu stałe obozowisko dla legionów, nazywając je Vindobona. Słoweńskie wpływy natomiast datują się historycznie od zdobycia Wiednia przez Awarów. Od 1278 roku do zakończenia I wojny światowej Austrię obejmują w swe władanie Habsburgowie. My zaś zapisujemy się złotymi głoskami na kartce historii państwa naddunajskiego w roku 1683. Król Jan III gromi Turków, a Kolszycki

otwiera podwoje pierwszej kawiarni w Wiedniu.

Wypada więc po poobiedniej kawie podumać na Kahlenbergu. Droga do obozowiska męża królowej Marysieńki prowadzi licznymi serpentynami przez Lasek Wiedeński. Przydrożne napisy ostrzegają automobilistów: „Achtung! Kurvenreiche Strecke!”. (Uwaga! Wirzele).

U stóp Kahlenbergu rozciąga się panorama miasta. Przypomina ona żywo syntezę fragmentów Wrocławia, Krakowa, Warszawy, San domierza, Kazimierza nad Wisłą... Przygodny znajomy, wiedeńczyk, wskazując punktowce i wieżowce wkomponowane w stare dzielnice mówi z zalem: — Bomben. Po czym się reflektuje, „Przecież ludzie muszą gdzieś mieszkać, a o place coraz trudniej. Na miejscu ruin więc wyrosły wieżowce. Większość z nich, to

wieżowce komunalne i spółdzielcze. Po co zresztą ja o tym panu mówię. Byłem w Warszawie...

Kiedy? Nie pytam. Austriacy nie lubią mówić o swej służbie w Wehrmachcie. Dla wielu z nich okres okupacji rozpoczął się po dojeździe Hitlera do władzy. — U nas okupacja trwała 11 lat — stwierdzają.

Refleksje okupacyjne i wojenne przerywa rozmówca uwagą współczesną.

— Radziłbym spojrzeć na Wiedeń z Donauturmu. Tam, na wysokości 165 metrów, usiądź sobie pan w obrotowej kawiarni i obejrzysz stolicę ze wszystkich stron świata. To nasza wieża Eiffla.

Uległem namowom. Donauturm usytuowana jest na terenie międzynarodowej wystawy ogrodniczej z 1964 roku. Wysokość wieży za-

kończonej iglicą wynosi 253 metry. W ciągu dwudziestu paru sekund winda przemieści mnie do kawiarni. Mieści się w niej swobodnie około 200 osób przy stolikach ustawionych przy oknach. Kawiarnia obraca się wokół osi wieży w ciągu około pół godziny. Nad kawiarnią mieści się kuchnia, a na najwyższym poziomie dostępnym dla turysty — 181 metrów — restauracja.

Istotnie. Widok z okien kawiarni jest plastyczniejszy niż z Kahlenbergu. Pełniejszy jest widok w samo miasto. Donauturm powstała w rekordowym tempie. Budowę jej rozpoczęto 1 sierpnia 1962 roku, a już 11 października gotowy był fundament. Na jego konstrukcję zużyto 1280 metrów sześciennych betonu i 180 ton stali! 28 lutego 1963 roku, a więc w ciągu 7 miesięcy, wykończono wieżę w stanie surowym.

Panorama Wiednia rozbudziła we mnie wielokierunkowe apetyty. Kusił Grinzing, pociągał Burgtheater, nie mówiąc już o Maximie... Dumny więc jestem, że zwyciężył Mozart, I to Mozart w jednej z najgłośniejszych oper świata — „Don Giovanni”. Interpretowano ją w języku włoskim. Podobnie jak w czasie prapremiery, która odbyła się 29 października 1787 roku w Pradze, obsadę ról w czasie mojej bytności stanowili wiołojęzyczni wykonawcy: Don Giovanni — Thomas Stewart, Donna Elwira — Evelyn Lear oraz Donna Anna — Enriqueta Tarres. W innych zaś rolach wystąpili ulubieńcy wiedeńskiej publiczności: Gottlob Frick, Fritz Wunderlich, Erich Kunz. Najgłośniejsze brawa rozlegały się po partiach Zerliny i jej najdroższego Meseta — wykonywanych przez Anneliese Rottenberg i Herberta Locknera. Nie chcąc pomnażać już tak liczne grona recenzentów-ignorantów, nie wypowiem się o poziomie dzieła. Lepiej, myślę, uczyni to recenzent praski z prapremiery:

„W poniedziałek, 29 października 1787 roku włoskie towarzystwo operowe wystawiło z utęsknieniem oczekiwaną operę, mistrza Mozarta „Don Giovanni”. Znaczący i muzycy twierdzą, że w Pradze nie wystawiono jeszcze dotąd równego jej dzieła. Pan Mozart, który dyrygował orkiestrą, był owacyjnie witany i zegnano przez publiczność”.

Nie dziwny się więc, że w jednym z listów W. A. Mozart pisze: „Moi pranie rozumieją mnie...”

Publiczność wiedeńska w 179 lat później tak samo gorąco reagowała na przedstawienie.

W czasie przerwy, w rozległym foyer opery, na wiołojęzyczną publiczność spoglądały z portretów i popiersi uduchowione oczy austriackich mistrzów tonów: L. A. Brucknera, K. W. Glucka, J. Haydna, J. Launera, K. Ziehrera...

O 22.30 koniec drama giacosa w dwóch aktach. Wiedeń w nocy. Wdziczą się dziewczęta z afisza reklamującego plażę bułgarską, jarzy się neon Internationale Atomkommission. Strzela z bata fiakier, uśmiechając się do przytulonej pary w powozie. Na Schwarzenbergplatz palą się znicze przy pomniku czczącym żołnierzy radzieckich, którzy wyzwolili miasto po pięciodniowym oblężeniu w dniu 13 kwietnia 1945 roku. Uśmiecha się z kiosku na okładce tygodnika „Bunte Oesterreichische Illustrierte” Claudia Cardinale, a obok niej grubymi czcionkami „wybitny” tytuł: „Grosser Farbericht: POLEN 1690 JAHRFEIER (Wielki barwny reportaż: „Obcho dy Tysiąclecia w Polsce). Impresje, refleksje, impresje, refleksje...”

Współbiesiadnik u Mozarta, Rudi, wiedeńczyk od dwustu lat, jak o sobie mawia, przerywa ciszę myśli:

— Widzisz, Jan (wymawia miękko z francuska jak Jean), Wiedeń, to nie tylko modry Dunaj, „Domek trzech dziewcząt”, Prater, Grinzing, walce... Takie o nas najczęściej macie mniemanie. To prawda — Kochamy życie, sprawiamy wrażenie bez trosk... Jesteśmy na co dzień z szerokim światem. Widziałeś pomnik Marka Aureliusza? Pallas Atena stoi przed parlamentem, a tu masz restaurację Smutnego.

Moja matka jest z pochodzenia Węgierką. My i wy pierwszego maja idziemy w pochodzie, u nas trybuny stoją przy Kärntnerstrasse, u was też na pewno przy głównej ulicy Warszawy. Będziemy jutro w Salzburgu. Pokażę ci Mozarteum, dom przy Getreidestrasse 9, gdzie się urodził... Gdy ciebie odwiedzę, może w przyszłym roku, pokażę ci mi waszą Warszawę, chciałbym poznać też Żelazową Wołę, gdzie się urodził wasz Mozart — Fryderyk Chopin. Byłem już na Węgrzech, w Bułgarii, Czechosłowacji. Przyjadę na pewno. Odwiedzę też moich przyjaciół w Charkowie. Utrzymuję z nimi stałą korespondencję.

Dziś otrzymałem od Rudiego pocztówkę z Genewy. Przedstawia Pałac Narodów, a przed nim sztandary państw — członków. Znamienne — obok polskiej flagi stoi — czerwono — biało — czerwona flaga austriacka.

„Chopinem” do Mozarta



ki z serii „Podkowy” i „Tygrysa”. I cóż w nich czytamy? Żona wraca do domu za uczęszaniem i zastaje męża z przyjaciółką. Wpada we wściekłość i zabija przyjaciółkę. Jaki jest wpływ takiej literatury na życie współczesnego człowieka? Wzrasta ilość zabitych przyjaciółek.

Przytoczone fragmenty pochodzą z prac pisemnych, a także — w kilku przypadkach — z wypowiedzi ustnych kandydatów zdających w tym roku na filologię polską. Chciałabym, aby ów wybór stał się nie tylko źródłem humoru, lecz także — i to przede wszystkim — poważniejszych refleksji. Żeby trafił do rąk nauczycieli i tych wszystkich, którzy ponoszą odpowiedzialność za stan wiedzy, za rozwój umysłowości naszej młodzieży w wieku szkolnym. To, co obserwujemy w cza-

się tegorocznych egzaminów napawa bowiem troską i poważnymi obawami. Ogólny poziom intelektualny zdających kandydatów jest zaskakująco niski. Zjawisko to daje się zaobserwować zresztą nie tylko na filologii, także — na innych kierunkach. Kandydatom brak często elementarnych wiadomości, które winni wnieść ze szkoły licealnej. Co gorsza — nie wiedzą czasem tego, co powinien wiedzieć absolwent szkoły podstawowej. Jeżeli matura nie jest nie słyszalnym nigdy o powstaniu warszawskim, jeśli myli podstawowe fakty, daty i nazwiska zarówno z historii, jak i literatury, jeśli nie potrafi pisać i mówić poprawnie po polsku, to wino nie tylko jemu trzeba przypominać, Co robił jego nauczyciel, kiedy pozostawał pod ich opieką? Jakim judem kompletny nieuk przechodził z klasy do klasy? Jakim prawem otrzymał świadectwo dojrzałości? Przecież szkoły licealne to nie instytucje

charytatywne działające na rzecz ubogich duchem! Wręczając absolwentowi dokument stwierdzający złożenie matury, szkoła wystawia światu dectwo nie tylko młodemu, wkraczającemu w życie człowiekowi, ale i sobie samej. Uważam, iż sprawą tą winny zająć się kuratoria i pociągnąć do odpowiedzialności tych, którzy wypacają psychologię, charakter młodzieży, tolerując nieuczucie, „prześlizgiwanie się” z klasy do klasy, lenistwo i bierność. Żli to wychowawcy, Żli nauczyciele, krótkowzroczni działacze. Trudno dziwić się potem, że poziom studiów dostosowywany z konieczności do przeciętnych możliwości studentów jest niezbyt wygórowany. W tej sytuacji dostają się bowiem na studia i ci, którzy nie mogą się pochwycić naprawdę dobrymi ocenami, którzy jednak odbiegają zdecydowanie od kompromitującego poziomu tak wielu — niestety — kandydatów. Na 265 osób dopuszczonych

do egzaminów wstępnych na I rok filologii polskiej — 25 nie zgłosiło się na egzamin. Z pozostałych 240 nie dopuszczono do egzaminów ustnych 33 kandydatów, którzy otrzymali po dwie oceny niedostateczne z egzaminów pisemnych: z literatury i języka obcego. Dodajmy, że dużo jest ocen dostatecznych z minimum, nie dać wiary pogłoskom, iż szkoły wykonują swoisty plan produkcyjny, tzn., że „nie jest dobrze”, gdy przekraczają określoną liczbę uczniów powtarzających rok, w tym także klasę maturalną. Ilość kosztów jakości. Jeśli w ten sposób wychowuje się przyszłą inteligencję pracującą, to dopraw-

dy dziwnie pojmuję się w niektórych szkołach obywatelski obowiązek. Pomijając już mizerniutki zasób wiadomości przeciętnego kandydata, największą troską i obawą napawa fakt, iż ci młodzi ludzie najczęściej nie potrafili samodzielnie myśleć. Powtarzają utarte slogany, wyrwane z kontekstu podręcznikowe zwroty, często z błędami i bez sensu. W pracach pisemnych popełniają kardynalne błędy ortograficzne. Interpunkcja jest dla nich ciemną magią — zupełnie nie wiedzą, gdzie i jaki znak stawia się oprócz kropki. Wykazują niesłychaną nieporadność stylistyczną. Tu — ponowny ułkon w stronę nauczycieli. To do nich należy przecież oduczenie młodzieży niepoprzebnych uchwytów stylistycznych, zwalczanie wodolejtwa, uczenie prostoty i poprawności. Jakże rzadko można doszukać się takich zalet w pisemnych pracach kandydatów!

I jeszcze jedno. Niestety, wytworzył się u nas nowy rodzaj snobizmu. Kto żyw — garnie się na studia. Po co! Jest już powszechną niemal „tajemnicą”, że na polonistykę wybierają się w znacznej mierze ci, którzy nie mogą liczyć na zdanie egzaminów na innych kierunkach. Niech nie obchodzą w gruncie rzeczy ta dziedzinna wiedza, lecz wydaje im się, że tam najłatwiej zdobędą dyplom magistra. Ostrzegam: nie tak znowu łatwiutko. Oby nie wytworzyli się błędne koła. Bo jeśli tacy ludzie dostaną się na studia, zdolają je z trudem przebrnąć i trafiają potem do szkół (jedyna prawie możliwość dla absolwentów polonistyki oprócz pracy kulturalno-oświatowej), to nie można się dziwić, że ich uczniowie i wychowankowie będą umieć tak mało, jak liczący doświadczenie tych, którzy właśnie stali się przyczyną irytacji widocznej w tym artykule.

MARIA KORNATOWSKA

„Popioły” a sprawa polska

Historia uczy, że wiele cennych myśli dotyczących naszego rodzimego podwórka zrodziło się za granicą. Świadczy m. in. o tym twórczość samego A. Mickiewicza, żeby pozostać w kręgu lektury szkolnej, a zatem każdemu dostępnej. Pobyt w obcych krajach sprzyja widocznie intensywniejszemu i wnikliwemu widzeniu spraw narodowych. Nie tedy bardziej frapującego i pouczającego niż lektura wypowiedzi rozmaitych rodaków z tych lub owych względów poza granicami ojczyzny bawiących. W tym przekonaniu z entuzjazmem sięgnęliśmy po numer 179 popularnego francuskiego miesięcznika filmowego „Cahiers du Cinema”, w którym to numerze zamieszczono krótki wywiad z znakomitym reżyserem filmowym Andrzejem Wajdą, z okazji prezentowania na festiwalu w Cannes jego ostatniego filmu pt. „Popioły”.

Miło nam donieść, że także i tym razem nie doznaliśmy zawodu odnajdując w wypowiedziach wybitnego przedstawiciela kultury polskiej szereg istotnych spostrzeżeń oraz wyjaśnień dotyczących stanu naszej literatury i filmu. Już po kilku chwilach uważnej lektury dowiadujemy się wraz z czytelnikami francuskimi, że „Polska jest małym krajem posiadającym bardzo niewiele dzieł literackich wielkiej wartości... Ten patriotyczny wstęp bardzo musiał przypaść do gustu redakcji „Cahiers du Cinema”, która kiedyś z okazji „Popioły i diamentu” nazwała Wajdę prowincjonalnym este-tą. Ale wbrew pozorom znakomite-mu reżyserowi nie chodziło tyle o atak na polską literaturę, ile o znalezienie alibi dla „niemożności” polskiego filmu, no i swojej własnej.

„Z drugiej strony — czytamy dalej — nieliczne dzieła pisarzy współczesnych mogą dostarczać interesującego materiału dla adaptacji filmowej. Ponadto nie ma w Polsce zawodowych scenarzystów. Bardzo więc trudno znaleźć oryginalne scenariusze, a z racji wysokich stawek za prawa autorskie nie możemy adaptować dzieł zagranicznych pisarzy”. I tu na marginesie Wajda ubolewa serdecznie nad pozbawieniem naszych realizatorów możliwości sfilmowania chociażby Conrada, który jak wiadomo, także był Polakiem. Boże chroń Conrada — chciało by się zakrzyknąć widząc oczyma duszy Lorda Jima w towarzysztwie rozlicznych białych koni, czarnych kruczków i innych narodowych impon derabilów. Zdaniem Wajdy, zarysowa-aa przez niego paradoksalna sytuacja zmusza polskich filmowców do coraz częstszego sięgania po dzieł-dzietwo klasycznej literatury. „Kie-ruje nami niestająca troska o na-wiązanie kontaktu z publicznością naszego kraju i myślimy, że uda nam się to osiągnąć właśnie za po-średnictwem klasycznej literatury”. I dalej jeszcze dodaje: „Dziś, kiedy temat wojny wydaje nam się wy-czerpany, wracamy się ku dawniej-szej historii z nadzieją znalezienia

w niej nowych tematów, nowych form i nowych motywów refleksji...” Z niemalym zdziwieniem i prze-rażeniem zapytują przedstawiciele redakcji „Cahiers du Cinema”: „Ale jak to możliwe, że w Polsce, pana zdaniem, temat współczesny mniej interesuje publiczność niż temat hi-storyczny?”. „Ten oczywisty para-doks — odpowiada z niezachwianym niczym poczuciem własnej słusz-ności Wajda — daje się wytłumaczyć faktem, że nasi klasycy posiadali siłę ideologiczną i społeczną, której brak autorom współczesnym”. I na poparcie tezy o niezwykłej pasji hi-storycznej Polaków powołuje się na ogromną dyskusję jaką wywołały filmowe „Popioły” (nie wnikając przezornie w zasadnicze motywy tej dyskusji) i jakiej jego zdaniem „za-den współczesny temat nie mógłby wywołać”.

Wnikliwie wczytanie się w wy-powiedzi czołowego reprezentanta polskiej kinematografii prowadzi do



kilku i to zasadniczej wagi wnio-sków. Po pierwsze: film nie jest wbrew pozorom sztuką autonomicz-ną, ale polega głównie na ilustrowaniu i ozdabianiu utworów literac-kich ewentualnie cudzych scenariu-szy. Wartość dzieła literackiego de-cyduje o wartości filmu. Jeżeli „Po-pioły” nie są arcydziełem, nie wina to Wajdy, ale rzecz jasna, Żerom-skiego, który nie był pisarzem naj-wyższego lotu. Trudno wymagać od filmowców, żeby wymyślali lub szu-kali samodzielnie jakichś tematów, bo oną są nie od tego. Z pierwszego wynika wniosek drugi: wina za o-becny stan polskiego filmu spada wyłącznie na pisarzy oraz nie istnie-jących zawodowych scenarzystów. Albo pisarze się poprawią i będą pi-sali lepsze, bardziej odpowiadające temperamentowi i gustom naszych reżyserów utwory, albo grozi nam adaptacja kronik Długosza i Galla Anonima. Nie pozostaje więc nic in-nego, jak czekać na narodziny now-ych, godnych adaptacji filmowej, arcydzieł literatury, a w między-czasie zadowalać się oglądaniem na ekranach udestępnionych nam łaska-wie tych nielicznych dzieł o wielkiej wartości, jakich los obdarzył nasz mały, biedny kraj.

Ktoś mniej wtalemniczony w arka-na tworzenia filmowego, mógłby za-uważyć, że np. „Most na rzecę Kwai”, film znakomity, powstał w oparciu o zupełnie nieznaną i mało interesującą powieść i że to samo

dałoby się powiedzieć o wielu in-nych wybitnych filmach, których autorzy literackich pierwowzorów dawno zostali zapomniani. Są nawet tacy reżyserzy, którzy sami wymy-słają tematy i scenariusze do swoich filmów, albo w decydującym stop-niu są ich współautorami. O ile nam wiadomo Fellini i Antonioni, Bergman i Kurosawa, Godard i For-man (nie uskarżali się jak dotąd na brak tematów, pomysłów, scenariu-szy oraz wybitnych dzieł literackich do adaptacji. Fellini potrafił nawet zrobić arcydzieło o tym jak to re-żyser nie ma nic do powiedzenia. I trudno zgadnąć w jakiej mierze zaważyła na jego sukcesie twórczość Dantego i Petrarci.

Wniosek trzeci dotyczy nas wszy-stkich, niestety. Otrzymałmy gębę i zostaliśmy upupieni w wieki. Pro-wincjonalny kraj karzący się wy-łącznie miernymi klasykami i histo-ria. Pasionujący się przeszłością i nie zdradzający żadnego zaintereso-wania dla współczesności, jej kon-fliktów i problemów. Prowincjonal-ni maniacy, których jedynym powo-dem do dumy jest fakt, że Conrad był także Polakiem, dyskutujący za-wzięcie nad przydługim i niezbyt jasnym filmem mającym być wier-ną adaptacją arcydzieła ich litera-tury narodowej.

Otrzymałszy w ten sposób z ust jej autorytatywnego przedstawicie-la wyczerpujące wyjaśnienia przy-czyn kryzysu polskiej kinematogra-fii, pozwalamy sobie pominąć dal-sze partie wywiadu, aczkolwiek i one zawierają wiele interesujących rzeczy. I tak np. Wajda zdaje się ubolewać nad nieobecnością w na-szym systemie producenta, co daje reżyserowi nieograniczoną swobodę działania. W tym świetle niezrozum-iałe jest np. angażowanie złych aktorów (chyba, że w naszym ma-łym kraju nie ma dobrych), do fil-mu i tuszowanie niedostatków ich gry uśmiercaniem niewinnych koni. Scena śmierci konia miała bowiem, zgodnie z wypowiedzią Wajdy, kom-pensować złą grę aktora grającego Cedre. Do zespołu alibi na jakie po-wołują się nasi filmowcy brakuje jeszcze zaiste osoby producenta.

W zakończeniu swego wywiadu Wajda przyznaje, że gdyby miał zro-bić film zgodnie z tym co mu dyktuje serce, skoncentrowałby się wyłącznie na epizodzie hiszpańskim najbardziej odpowiadającym jego temperamentowi i sposobowi widze-nia. Ale nie mógł tego uczynić związany serwitutami adaptacji. A daczegoby nie? Elia Kazan oparł swój film, niewątpliwie jedną z naj-genialniejszych adaptacji dzieł lite-rackich, na dwóch rozdziałach po-wieści Steinbecka „Na wschód od Edenu”. Był to w pełni film Kaza-na, choć wyrażał istotę powieści Steinbecka. Rezultat artystyczny mierzy się nie ilością adaptowanego materiału, ale jakością. Zresztą Że-romski i tak wyszedł z „operacji „Popioły” mocno okrojony, wierność adaptacji jest nader problematycz-na, a film wewnętrznie zwinięty. Może więc byłoby lepiej dla Żerom-skiego, Wajdy i polskiej kinemato-grafii, gdyby reżyser oparł swój film wyłącznie na epizodzie hiszpańskim tak jak dyktowało mu serce i arty-styczny temperament.

KRONIKA



Zamiast kolejnego felietonu

W 1958 roku wydrukowałem fraszkę pt. „Na rodzimą tele-wizję”:

Może niesłusznie to pisząc czynię i tradycyjnie na sprawy patrze, lecz jeśli filmy to wolę w kinie, jeśli zaś sztuki no, to w teatrze!

Dość odległe to czasy. Któż przypuszczał, że Telewizja zro-bi błyskawiczną karierę, dzie-sięć lat to w jej rozwoju osza-lamiające sukcesy rozmaitego rodzaju. Sukcesy i klęski z sob-ą pomieszane, ich osmoza.

Wierzyliśmy na przykład, że telewizory automatycznie za-ludnią nam świetlice i kluby. I tak było. Telewizory przy-ciągały ludzi, interesowała ich sama nowinka techniczna jak i to, co pokazywał szklany ekranik. Potem aparaty szyb-ko zaczęły się upowszechniać, stały się prywatną własnością, na dachach domów i domków coraz więcej pojawia się an-ten. Dziś telewizory społecz-ne jakże często stoją w po-krowcach, zdejmując się je z okazji meczów i innych im-prez sportowych, niekiedy z powodu „Kobry” lub „Bonan-zy”. (Niekiedy kupują gazety dla odcinków powieści sensa-cyjno-kryminalnych, innych bo-wiem się nie drukuje).

Co wiemy o telewizjach? Istnieją próby badań opinii, ale jakoś mało o tym się sły-szy. Jednostkowe obserwacje wypadają czasem dość fatal-nie. We wrześniu ub. roku zna-lazłem się na spacerze w od-ległości jakichś dwudziestu km od Warszawy. Przy szosie stały trzy murowane domy par-terowe. Na każdym dachu ster-czało kilka widlastych anten telewizyjnych. Przed domami nie ujrzałem ani jednego klombu, wygódki obok tych domów nie miały drzwi, ścież-ki były brudne. Gdyby z tego obrazka wyciągnąć wnioski na temat wpływu telewizji na ży-cie codzienne, byłyby one dość ponure. I, czego nie trzeba na-wet dodawać, bardzo uprosz-czone pod wieloma względami. Aczkolwiek o podobne ob-serwacje dość łatwo. Pewnej lipcowej niedzieli znalazłem się na terenie nowego osiedla piotrkowskiego, „Wyzwolenie”. Radio i telewizja hałasowały, hałas pijakie stały się dziś anachronizmem, osiedle stano-wi piękny prezent dla jego mieszkańców, ale między do-mami oko nie dojrzało klomb-ów czy rabatów, ziemia led-wie świeciła trawą, a jeszcze częściej jałowymi splachetka-mi. Czy socjalizm ma tym lu-dziom dać również kwiaty i drzewka i jeszcze pilnować, by ich właśnie oni sami nie niszczyli?! Bardzo źle myślę bu-

dzą mieszkańcy podobnych o-siedli!

A co z racjami zawartymi w przytoczonej na wstępie fraszce? Jeśli chodzi o filmy, to ogładam jedynie telewizyj-ne — w wyjątkowych tylko wypadkach „kinowe”, mały ekran redukuje szczegóły o-brazu (jakby na nim wypadł Antonioni?), zamiast napisów ma się tekst czytany przez jed-ną osobę. Mimo to prawie przestałem chodzić do kina, zaniedbując oglądanie nawet świetnych filmów. Telewizor staje się przyczyną lemistwa wygodnictwa kulturalnego. Da-je kulturę homogenizowaną, znieczula naszą chłonność. „Homogenizowanie mleka po-lega na rozdrobnieniu kuleczek tłuszczu, co utrudnia tworzenie się na jego po-wierzchni warstwy śmietanki”. W wypadku konsumpcji kulturalnej, której pośredni-kiem jest aparat telewizyjny, zachodzi obawa, że łatwo przestać odróżniać mleko od śmietanki, czemu niekiedy sprzyja i zbyt pochwalne sło-wo wstępne, poprzedzające nie-które audycje. To może dlate-go potrzebne są recenzje, dy skusje w kręgu najbliższych na temat oglądanych progra-mów.

Jeśli chodzi o teatr, to nie rezygnuję z odwiedzania przy-bytków Melpomeny. Ale za-glądam do nich bez porówna-nia rzadziej, gdyż telewizor umożliwia kontakt z aktora-mi i teatrami całej nieomal Polski. W tym wypadku rola telewizora jest nigawpływliwa duża i dodatnia (w dodatku obserwujemy narodziny form specyficznych dla TV), zwięk-sza możliwość konfrontacji, za-bożając jednak przez swoją częstotliwość przeżywanie posze-gólnych dzieł sztuki. Na to jednak nie ma rady. Zanika lub całkiem zanika odśwież-ność obcowania ze sztuką. To symptom czasu!

Nie tak wiele podróżowałem, ale jeździć potrafię i lata-łem kilkakrotnie samolotem. Pierwszą podróż samolotem odbyłem nawet w wyjątko-wych warunkach 1944 roku. Ale gdyby mnie kto zapytał, jaka podróż wywołała we mnie niezatarte wrażenia, to bez wahania sięgnąłbym pa-mięcią dość daleko wstecz, do wczesnych lat gimnazjalnych i odpowiedziałbym — pierwsza większa wyprawa w moim ży-ciu, odbyta z ojcem na trze-saczej furce, ciągniętej przez dość mizernego konika. Zwie-dziliśmy w ciągu pięciu dni dwa małe miasteczka, jedno z nich znajdowało się w odle-głości trzydziestu, a drugie —



sześćdziesięciu kilometrów od naszego miejsca zamieszkania. Dlatego i teraz dobrze rozumi-em ludzi, wyznających choć by turystykę pieszą, chociaż dia tych, którzy mijają ich po ciągu lub motocyklem, mogą wydać się śmiesznymi, nieszkodliwymi maniakami. Dlate-go ze zrozumieniem myślę o zamożnych skądinąd krajach, jak choćby Dania, gdzie rower nadal cieszy się szacunkiem.

TV to nie tylko kino i teatr, a właściciele telewizorów nie rekrutują się wyłącznie spo-ród mieszkańców większych miast. Tedy i problemów jest bez porównania więcej.

Teatry raz w tygodniu, w poniedziałki lub w piątki, za-wieszają przedstawienia. Ga-zety ukazują się często razy w tygodniu. Tylko radio i TV nie mają wychodnego, rotacja homogenizowanych wartości artystycznych, informacyjnych i naukowych stale będzie się zwiększać. Ciekaw jestem, jak zachowalibyśmy się, gdyby tele-wizja również miała swój je-den wolny dzień w tygodniu? Jak poradziłbyśmy sobie bez tego codziennego narkotyku, jak wpłynęłoby to na naszą percepcję, na naszą zdolność do samodzielnego rozwiązywa-nia sprawy wolnego czasu?

A może kiedyś dojdzie do takiego eksperymentu?

MARIAREL

Jan Huszar

O FILMACH DOBRZE I ŹLE

Miłość jest solą życia — to praw-da. Przenoszona na ekran stanowi najczęściej pojawiający się w sztuce filmowej motyw. Absorbują publiczność, twórców, a także krytyków i badaczy zainteresowanych głównie sposobem jej ukazania. Nie dziwne-go. Motyw miłości w sztuce w ogó-le liczy sobie przecież tyle lat, ile sama sztuka. Bywa źródłem naj-bardziej lirycznych, subtelnych wyznań, głównym nerwem, motorem dramatu scenicznego, lub opowieści epickiej przedmiotem opisu najpo-wszchniej spotykanym. Sztuka zachowuje się wobec miłości jak człowiek — jej twórcą. Czasem jest dyskretna, delikatna, czasem śmiała lecz tak-owna. Bywa też niestety wulgarna i nachalna.

Film jest dla widza namiastką ży-

cia innych ludzi. Zaspokaja będąca chyba instynktem ciekawość — jak żyje ktoś drugi. Film podgląda i pod-słuchuje. Ukazuje to, co zwykle za-krywają przed nami ściany, drzwi, okna. Wdziera się w najbardziej in-tymne momenty życia. Ma wielką szansę, w której czyha kolosalne niebezpieczeństwo: może — jak żadna dotąd sztuka — ukazać miłość w całej pełni: psychicznej i fizycznej. W filmach komercyjnych, pozawio-nych ambicji artystycznych pierw-stęp psychiczny jest zazwyczaj tylko pretekstem do ukazania cielesnych powabów miłości, stereotypowych, robionych pod publiczność. W ten sposób rodzi się tani, często niewybredny erotyzm na firmamencie kina poja-wiają się standardowo powabne sex-bombi — gwiazdki o określonych

wymiarach i krótkim żywocie. Ale bywa też inaczej, kiedy fizyczne po-rodzenie dwójga ludzi staje się przedmiotem ambitnego, wysoko mie-rzonego dzieła, które stawia sobie za cel niełatwe i tanie kupowanie nie-wybrednej publiczności, lecz ukaza-nie prawdy o człowieku. Film nie po-przestaje wtedy na podglądaniu. Jest artystyczną sondą ludzkiej psychiki przejawiającej się także poprzez jego cielesność. Niech posłużą tu za przy-kład dwa prawdziwe arcydzieła: „Hi-roszima moja miłość” i „Kobieta z wydm”.

Specyficzną formą ukazania miło-ści na ekranie i problematyki seksu-alfnej operuje komedia filmowa. Ta ostatnia — przedstawia ową prawdę o człowieku w krzywym zwierciadle, wyolbrzymia i celowo zniekształca

pewne jej rysy. Psycholog dodałby tutaj: rozładowuje tym samym do-skonale tkwiące często w widzu kom-pleksy. I chyba miałyby rację. Świad-czy o tym żywiotowa wesołość pu-bliczności podczas projekcji „Rozwo-du po włosku” czy „Ape Regina”, dwóch znakomitych komedii, w któ-rych źródłem komizmu staje się na-gromadzenie sytuacji bynajmniej nie-zabawnych, gdyby przyjrzeć im się odizolowanym od siebie. Tu styl dzie-la decyduje o wszystkim. Deformacja artystyczna sprawia, że czujemy się uczestnikami pewnej zabawy, gry opartej o zasadę: na niby, a nie żąd-nymi sensacji intruzami, zagladający-mi w cudze życie przez dziurkę od klucza.

choćby nawet o tyle słabszego lecz zabawnego „Wspaniałego roga-cza”. I właśnie dlatego „Piękny Antonio” nie jest wcale taki piękny...

„PIĘKNY ANTONIO” pozornie na-leży do tej samej grupy komedii fil-mowych. Jednak deformacja artysty-czna, o której była mowa jest w nim zbyt słaba. Co gorsza — w pewnych partiach brak jej zupełnie. Dlatego

film Mauro Bologniniego nie jest gatunkiem czystym, oscyluje cią-głe między komedią, a zwykłym me-lodramatem. Kiedy do głosu dochodzi melodramat, to co było siłą „Roz-wodu po włosku”, „Ape Regina” czy

Kto, co, kiedy?

relacje
niedyskrecje

WYSTAWA DLA UCZCZENIA PAMIĘCI ISADORY DUNCAN, FILM O SIERGIEJU JESIENIEM

Amerykańska tancerka i radziecki poeta, ludzie tak różni z różnych kontynentów byli równocześnie dwojgiem ludzi, których łączy

nachciwnie wielu artystów o takiej sławie jak Rodin, Mafray czy Bourdelle. Ten ostatni utrwał na zawsze jej taneczne ruchy w plaskorzeźbie „Taniec” umieszczonej na fasadzie paryskiego Théâtre des Champs-Élysées.

Wielka artystka warła wielki wpływ na

amerykańskiej tancerce z podziwem i szacunkiem. Wspomina o spotkaniu Isadory z Jesieniem w Moskwie. Jakis czas Sznajder mieszkał nawet pod jednym dachem z małżeństwem Duncan-Jesienin.

Niedawno przyjaciele Isadory Duncan i wielbiciel talentu wielkiej tancerki dla uczczenia jej pamięci zorganizowali w Paryżu specjalną wystawę pt. „Pod znakiem Isadory”. Zebrano tam wiele pamiątek po znakomitej tancerce: rzeźby i rysunki wielkich artystów, dla których Isadora była natchnieniem jej fotografie i listy itd.

W Związku Radzieckim zaś nakręcono ostatnio dokumentalny film o życiu Siergieja Aleksandrowicza Jesienina (1895—1925). Jest to dzieło stworzone z ogromnym pietyzmem. Scenarzystą jest bowiem J. Prokuszew, który całe swe życie poświęcił badaniu dzieła i życia Jesienina. Zebrał on ogromną kolekcję pamiątek po wielkim poecie, zwłaszcza bardzo obfity materiał ilustracyjny. Mówi się nawet o Prokuszewie, że o przyjacielach i wrogach Jesienina wie znacznie więcej niż o swych własnych. Reżyserem zaś jest P. Rusanow, rówieśnik Siergieja Jesienina. W dawny jego serdeczny przyjaciel. Choć światłotaniec trwa za ledwie godzinę, pracowało nad nim dwa lata, a materiały i dokumenty przygotowywano od wielu lat.

RAINER MARIA RILKE PO ARABSKU

Staraniem wydawnictwa syryjskiego ukazał się w Damaszku pierwszy przekład na język arabski wyboru poematów znanego poety austriackiego Rainera Maria Rilke'go (1875—1926). Przekładu dokonał Manduh Hakky.

OBRAZY MALOWANE POD ZIEMIĄ

Malarz Juan Ramirez, który był kiedyś górnikiem podjął się niezwykle ekperymentalnego

organizowanego pod egidą Francuskiej Federacji Grotolazów. Ramirez wszedł do groty w Clamous pod Montpeillier i pozostanie tam tyle czasu, ile potrzeba mu będzie na to, aby namalować 20 obrazów wykonanych serią rysunków jedną rzeźbą. Przez cały czas lekarze przy pomocy najrozmaitszych aparatów, będą z daleka czuwać nad stanem jego zdrowia i jego samopoczuciem. Dzieła Ramirez'a wykonane w grocie, będą następnie wystawione w Paryżu.

FRANCJA ODDAJE HOLD ŻEGLARZOWI, KTÓRY PRZED 42 LATY ODKRYŁ NOWY JORK

Pod takim m. in. tytułem prasa francuska zamieszcza sprawozdanie z uroczystości odsłonięcia pomnika ku czci żeglarskiego, którym był Jean de Verrazane.

Urodził on się w roku 1481 w Toskanii lub w

nocnej, 17 kwietnia 1524 roku jego statek dociera do ziemi, którą nazwał „Angoulesme”. Działalność jego na tym obszarze jest stanem Nowy Jork. W dalszej swej podróży do Nowej Szkocji obszar przybrzeżny rozciągający się na długości 4 tysiące kilometrów nazywa na cześć Francji „Francescane”. Wraca następnie do Dieppe i zdaje królowi Franciszkowi raport ze swej podróży. Jeszcze dwa razy wyprawia się do Ameryki. Z drugiej podróży nie

wraca już jednak, zabity na jednej z wysp przez Indian.

W odsłonięciu pomnika Jeana de Verrazane w Dieppe wzięli udział trzej ambasadorowie, jeden minister i wiele osobistości francuskich włoskich i amerykańskich. Wartość honorowa w średniowiecznych strojach pełnili m. in. rymarsze francuscy i włoscy.

Pomnik Jeana de Verrazane wyrzeźbił w marmerze kararyjskim włoski artysta Bini.



Isadora Duncan

przyjaźń, zrozumienie i miłość.

Isadora Duncan (1878—1927) była jedną z największych artystek początków naszego wieku, twórczynią nowoczesnego tańca, nazywanego ją nawet powszechnie „królową nowoczesnego tańca ekspresyjnego”. W swej sztuce nawiązywała do starogreckiej tragedii, do gestów antycznych

baletu Diagilewa, znany w Europie i Ameryce.

W lecie 1921 roku Isadora Duncan przybyła do Związku Radzieckiego by ofiarować swe siły i talent założeniu szkoły tańca dla dzieci robotników i chłopów. Iłja Sznajder, dyrektor szkoły tańca, założyciel opublikowanych wspomnień, wyraża się o



Siergiej Jesienin

ANTONI SZRAM

Tam, gdzie obrazy dojrzewają

(KARTKI Z WYSTAWY)

Lato, wakacje, urlopy, wczasy... Miasto pustostaje. Muzea, salony, galerie sztuki tak samo. Niewiele można więc obejrzeć z powodu kanikuly. Dlatego też dobrze się stało, że po myślanie o innych miejscach ekspozycyjnych. BALATON. Oczywiście, gotów jestem przyznać, że w kawiarni człowiek niewiele czasu poświęcić może na malarsko-poetyckie wrażenia, skoro wiadomo, że najistotniejsze jego zajęcie polega na lizaniu kawy, lizaniu lodów lub uwoodzeniu cnotliwej sąsiadki.

Jednak w bezustannej walce o nowe zainteresowanie, o miłośnika sztuki właśnie odpowiednio uchał charakterystyczne nowoczesne lokale publiczne mogą przyczynić się do przetrwania mostu porozumienia między twórcą a odbiorcą. Zastąpić muzea, przybytki sztuki po godzinie 18. „Nie przyszedł Mahomet do góry, to przyszedł góra do Mahometa”. Niejednym z malarzy dzieł sztuki i ciska gromy na brak zainteresowania jego twórczością. Często, nie bez uzasadnienia, wyciąga

zgrabnie wnioski bardzo ogólne, twarde. W Łodzi brak jest par excellence nowoczesnych galerii. Te zarzuty dało się słyszeć na łódzkim sejmiku kultury (były również inne zdania). Moim zdaniem trzeba korzystać z wszystkich możliwości. Lecz tu — szkopol: nierzadko bez myślni malarze, malpko chający swoje obrazy robią uwagę, że owszem, wystawę je na pokaz, ale tylko w Salonie Sztuki Współczesnej na Piotrkowskiej 86. Masz babo plasek! Walczymy o jak najwięcej miejsc, a gdy już są — brak wystawiających. Wszyscy tylko tam chcą prezentować swój dołek twórczy, gdzie psuch nie świeżym tyńkiem. W ten sposób degraduje się idea popularyzacji kultury plastycznej. Może słowa te są za mocne, krzywdzące artystów. Zgadnam się z oponentami, że miejsca, o których mowa są skromne, mało reprezentacyjne, że niejednym z polskich krytyków artystycznych nie wybaczy prezentującemu tam swoje prace autorowi — braku „krytycyzmu”. To nie warszawska „Zachęta”, czy Dom Plastyczny. Są jednak te miejsca nie gorsze od setek pary-

skich kawiarni zdobionych wystawami, które zwiadałem, czy popularnej w Polsce Galerii Lambert. Te moje sceptyczne refleksje adresuję do autorów, z którymi nie udało mi się dojść do porozumienia pod czas adaptacji... Balatonu na przybytek propagandy plastyki.

Mówię głośno, bo podobne fakty stanowią palące problemy i w innych miastach Polski, co świadczą o niezbyt rzetelnym postawie niektórych artystów i recenzentów. Można by mówić o wiele dłużej, gdyby nie to, że lista osób, które akceptują podobne wystawy — jest po drugiej stronie bogata. Rozmyślnie przejrskrawiam całą rzecz, ale zda je mi się, że zjawisko nie zdrowego snobizmu artystycznego w naszym mieście zaczyna groźnie narastać. Trzeba się zastanowić do jakiego stopnia jest groźne, lub nie. Pozostawiam to do dyskusji przy malej czarnej w Balatonie.

Sam nie wiem, do jakiego gatunku zaliczyć te wystawy. Artysty nazwali się grupą „Trzech”. Jestem inny, ale właśnie dla tego, że inny chcę być z kimś i dla kogoś”. Zaangażowaniem jest ich koniencjonalność, zawiesz w tworzeniu każdego, w poszukiwaniu odbiorcy.

Nie przypadkowo obrazy Ireneusza Olszewskiego są tak popularne. Jednym z bodaj malarzy młodego pokolenia, którego obrazy regularnie zakupują zwiędzający prosto z wystaw. Na Zachodzie powyższy fakt byłby miernikiem wartości malarza. A u nas? Przy-

zwyczajiliśmy się do mecenatu państwowego niewielkiego różnice między artystami. W pewnym sensie. Tym bardziej zainteresowała mnie twórczość Olszewskiego, a przede wszystkim ten magnes zwa piąjący nabywców aż... z USA. Brak mi pełnej odpowiedzi. Medytacje nie wystarczą. Obrazy same bronią prestiżu autora. Może jest dziwactwem konstruować wizję artystyczną z kawałków kory, drewna i innych przedmiotów na wielobocznej płaszczyźnie i przy pomocy tworzyw sztucznych urabiać malarską konsystencję. Ale istnieje tu określony znak plastyczny, wyznacznik autentycznych determinantów określających naturę człowieka w oparciu o kategorię, które są sztuką. Rzecz polega na bogactwie środków, nasyceniu, złożoności i wielostronności widzenia świata. Przy tym szereg prac ukazuje dużą skalę możliwości twórczych nie naruszając podstawowej konstrukcji mity nowoczesności, aktualności i imności. W formie obrazu zawalowana jest miłość do opowiadania o codzienności, o człowieku. Te warstości, jak sądzę, decydują o powodzeniu i zainteresowaniu widza autorem „Jazdy figurowej”.

Pokaz olejów Tadeusza Hołównego zdziwi zapewne znających jego osiągnięcia w dziedzinie plakatu. W Balatonie prezentuje on serię udanych propozycji malarskich. Sprawa podsta wowa, w jego obrazach, to delikatny, ozdobny rysunek, inne są służebne. Na

rzucająca się oku i pamięci kreska organizuje kompozycję. Autor operuje jej na barwę w różnych odcieniach, ulubione: róż, błękit, zielen. Byłoby dużym uproszczeniem traktować oglądane obrazy jako szczyt możliwości autora, ale sądząc po wystawianych pracach chce on dojść do widza nie wymuszając w nim uwagi. Aprobujemy to malstwo, komunali w rodzaju: obrazy zbyt tradycyjne — nie wydają się być zbyt krzywdzące dla autora. Czyż moda w malarstwie jest czymś pewnym? Sztuka może lecz nie musi mieć charakter nowatorski. I kolor i linia dowodzą u T. Hołównego opanowania rzemiosła, wydają empirycznie sprawdzone owoce. Doświadczenia zaś nie należy lekceważyć. Ceni on sobie wyraźną formę przedstawięcia, korzysta z inspiracji natury, wpływu tego co przeżywa, co go otacza („Ona”, „Akt”, „Zaprzeczenie”, „Pejzaż”). „Lubię malować stare i zapomniane, zniszczone zębem czasu domy wiejskie i miejskie pragnąc wyrazić nie tyle romantyczny nastroj, ile samotność przemijających barw i form przeszłości”.

Trzeci — Bernard Szymański — reprezentuje inny styl, który różnie można ocenić. Wydaje się bliższy koncepcji, jaka niedługo w łódzkim gruncie lansowała Teresa Tyszkiewicz. Tu decyduje przede wszystkim wizja, wyobraźnia, idea wynikająca ze struktury naszej egzystencji. Wyeleminowanie człowieka, przedmiotu z malarsstwa nie jest czymś no-

wym. Swoista zaś wymowa posiada fakt, że wyczerpuje się w końcu całkowicie w sztucznym i bezsensownym organizowaniu form: kolor, faktura, kompozycja, temat. Tutaj widzę niebezpieczeństwo śmierci piekna, idei, malarskiej z życia. Nie polemizuję z autorem, nie kwestionuję przekonania, nie angażuję mnie po prostu te dekoracyjne obrazy. Wystawa dana nam oglądać asystowała się na horyzontalnej ścianie kawiarni Balaton. Podczas dnia dzieła „Trzech” autorów znajdują się w półce niu, działają tylko ozdobnym fryzem. Z chwila, kie-

dy o zachodzie słońce kryje się za tarasem kawiarni, obrazy ożywają. Każdy z osobną muzykuje w losem kreski, faktury, koloru, zdaje się mieć trudne do zdefiniowania, dojrzejące pod wpływem światła reflektorów akordy plastyczne. Gdyby podobne pokazy malarstwa uzupełnił spotkaniem z pisarzem, poetą, raz w miesiącu zamieniał na klub dyskusyjny prowadzony przez łódzkich literatów! Miejsce prawie idealne dla głębokich przeżyć artystycznych. Brak nam tylko przyzwyczajenia.

POLONICA

„SOWIECKAJA KULTURA” O FESTIWALU OPOLSKIM

Pisząc o festiwalu polskiej piosenki, który niedawno odbył się w Onolu, radziecki komentator nie stara się o żadną ocenę — po prostu porostaje na zwieszłej relacji, ograniczając się do podania nazwisk zwycięzców i piosenek-laureatek. Jednakże wnikliwy czytelnik może z łatwością wyczytać ukryty pod tekst jakiś zawiera ta krótka notatka.

Tegoroczny festiwal był więcej imprezą dla oczu niż dla uszu. Krzykliwe dekoracje, neony, plakaty, ogień bengalski oraz finałowy falsterwerk, nie mogły przestąpić braku piosenek, które stałyby się bodaj przez boiami sezonu.

Toteż nie można dziwić się obojętnej relacji radzieckiego komentatora z „Sowieckoj Kulture” z dnia 5 lipca br., który nie znalazł nic godnego, co wymagałoby wysokiej oceny czy pochwały.

POLONIA AMERYKAŃSKA O MIĘDZYNARODOWYCH TARGACH KSIĄZKI

Tegoroczne Międzynarodowe Targi Książki w Warszawie, które odwiedziło ponad 50 tys. osób, a obrót ogólny dosięgnął 6,5 mln. złotych dewizowych — stały się tematem artykułu, jaki zamieścił „Głos Ludowy” z Detroit w jednym ze swych czerwcowych numerów.

Naszych czytelników zainteresuje zapewne fakt, że na targach tych została podpisana umowa pomiędzy Polską a Jugosławią, na podstawie której Jugosławia do starczy nam encyklopedie tematyczne Larousse'a, za co „Nasza Księgarnia sprzeda Jugosławianom poważną ilość książek dla dzieci.

Podobne umowy podpisał również ze Związkiem Radzieckim, CSRS, NRD, Bułgarią i innymi krajami.

Ta sama gazeta przynosi wiadomość dotyczącą odsłonięcia w Saskim Ogrodzie w Warszawie pomnika M. Konopnickiej, ufundowanego przez dzieci. (ci)

POLONICA



Fot. G. Puciato

EUROPA PRZEGRAŁA

La Mans, 18 czerwca, godz. 16. Henry Ford opuszczeniem chorągiewki daje znak rozpoczęcia wyścigu. 55 maszyn zrywa się do walki na trasie 4833 km. Zwycięzcą wyścigu, trwającego 24 godziny, został Nowozelandczyk Bruce Mac Laren. Ale triumf w La Mans odniósł przede wszystkim Henry Ford.

Gdy wielka armada Forda ruszyła do ataku, słynny konstruktor — Enzo Ferrari siedział samotny, w pustym domu, pogrążony we wspomnieniach. Przed fotografią tragicznie zmarłego Dina paliła się lampka. 18 czerwca! Jakaż zbieżność dat! Przed dziesięciu laty strata jedynego syna... dziś wielka przegrana...

Z frontu walki w La Mans dalekopisy nieustannie informowały Forda, po dając coraz to bardziej optymistyczne komunikaty. On sam krążył nad trasą wyścigu we własnym helikopterze. Dzień 18 czerwca kosztował Forda 10 milionów dolarów.

Jakich pomyślnych wieści mógł oczekiwać tego wieczoru Enzo Ferrari? A jednak czekał. O północy zadzwonił telefon. Radosna nowina z Francji: „Jeden Ferrari w czółwce, drugi na trzecim, jeszcze inny na siódmym miejscu!”

„Wiadomości były obiecujące — mówił później Enzo Ferrari — w La Mans nie wygrywa się w nocy, decyzyje zapadają dnia następnego, w samo południe! Te wieści z Francji to iśkra nadziei, może jednak los będzie łaskawy...”

Tymczasem niebo w La Mans zasnuło się chmurami. Zaczął padać gęsty deszcz, zamieniając asfalt szosy w ślizgawkę. Kierowcy jednak nie zwolnili tempa. Ferrari wiedział, że taka noc na szaleńczej trasie wyścigu to masakra ludzi i maszyn. Po raz dwudziesty przebiegały okrążenie.

Pogrążony w myślach Ferrari widział schylone nad kierownicą plecy swych kierowców, widział dziennikarzy gotowych wypisać nekrolog niezwykłemu dotychczas konstruktorowi, słyszał entuzjastyczne okrzyki Amerykanów wiwatujących na cześć Forda.

W Modenie wstawał dzień. O 8.30 zadzwonił telefon. Ja kiś głos relacjonował: „30

minut temu Ferrari 21 Bandini-Guicheta odpadł ostatecznie. — „Rozumiem” — skwitował Ferrari, udając się do biura, by jak co dzień przejrzeć korespondencję.

Godziny płynęły wolno. Ferrari nie włączał ani radia, ani telewizora. Nie widział rozradowanej zwycięstwem twarzy Forda. Ale kiedy otwierał depezę nieznanego francuskiego sportowca i czytał słowa — „Po zostanie Pan zawsze symbolem odwagi i geniuszu” — poczuł się mniej samotny.

— Przed trzema laty prze widziałem tę porażkę! 31 marca ubiegłego roku, pisałem artykuł, któremu dałem tytuł — Zegnaj Europo!

Na następne wyścigi, o nagrodę Europy, w Reims wysłał tylko jedną maszynę i jednego pilota, Lorenza Bandini — zdecydował.

— Co będzie dalej? — Dla Forda — mówi Ferrari — rysują się szerokie perspektywy. Odkąd zainteresował się wyścigiem, sprzedaż jego wozów wzrosła o 19 procent. Ale przegrana Ferrari'ego musi zaniepokoić wszystkich europejskich producentów samochodów.

— Czy zamierza pan walczyć z Fordem?

— Nie walczę, ale nadal będę brał udział w wyścigach. Uważam, że rezygnacja z nich byłaby równoznaczna ze zdradą pamięci tych, którzy życie oddali tej sprawie. Bo wyścig to nie tylko kwestia doskonałości maszyn, zwycięstwo techniki, ale sprawa ludzkiej odwagi, ludzkiego geniuszu, tak jak zdobywanie szczytów czy podbój kosmosu!

— Zwycięstwo w La Mans kosztowało Forda 10 milionów dolarów — ile pan wydał?

— Wszystkie koszty Ferrari zapisuje w notesie, z którym nie lubi się rozstać.

— Koszty — twierdzi — to sprawa nie tak ważna.

Ford skonstruował specjalny samochód tylko dla wyścigu w La Mans. My nie możemy sobie na to pozwolić, nie produkujemy nawet tysiąca wozów rocznie, a coś dopiero mówić o maszynie dla jednego wyścigu. Wszystkie nasze wozy muszą stanowić jakiś — na zwałbym to — „kompromis” uwzględniający warunki i specyfikę różnych tras wyścigowych.

Porównanie z Fordem Ferrari chce ograniczyć tylko do kwestii kosztów. Nie wspomina o tym, że do La Mans wysłał wszystkie posiadane samochody, wszystko czym dysponował — 4 ciężarówki i furgonetki! Kiedy zaszła potrzeba dostarczenia zastępczego motoru, nie było czym go zawieźć. Z pomocą przyszedł pewien kibic i jego Volkswagen. Tego dnia inżynierowie zażądali telefonicznie przysłania części, bez której maszyna nie mogła startować. I tym razem dopomógł przyjaciel. Ferrari nie dysponuje helikopterem, nie posiada samolotu. Wszyscy wiedzą o tym, a jednak wszyscy żądają, by zwycięzał. Brakuje

mu pilotów, których sam nie jest w stanie wyszkolić. Przygotowanie „championów” to sprawa długiego czasu i wielkich kosztów.

— Nie mogę budować wozu odpowiadającego wszystkim wymogom wyścigu, bo nie mam odpowiednich części. Powinniśmy opierać się na własnym przemysle, bez potrzeby korzystania z importu. Jak dotąd wszystko jest na opak. Od dziesięciu lat nie produkujemy opon dla wozów wyścigowych. A co będzie, jeśli Dunlop przestanie nam je dostarczać?

Pomyśleć tylko co musimy sprowadzać z zagranicy: z Anglii — stal resorowa, z Holandii — koła, tworzywa sztuczne z Francji, specjalny gatunek brązu z Niemiec itd. itd. Stal na zawory sprowadzana ze Szwecji wysyłamy dla przerebu do Ameryki — mam na myśli maszyny sportowe.

Po głośnym zwycięstwie w La Mans Ford uznał, że

konkurować z nim mogą jedynie Japończycy. Ferrari dodaje, że jeśli Japończycy w przemyśle samochodowym dokonają tego co zdołali uczynić w radiotechnice obawy Forda będą w pełni uzasadnione.

— Jak zdaniem pana, będą wyglądać wyścigi w przyszłości?

— Pada natychmiastowa odpowiedź:

— W pierwszym rządzie będzie to sprawa regulaminu i przemysłu.

— Co pan może powiedzieć na temat zjednoczenia europejskich fabryk samochodowych?

— Czy można mówić o wspólnocie europejskiej, jeśli włoskiej dotychczas nie ma?

— Czy oprócz Forda są fabryki, które chciałyby połączenia z Ferrariem?

— Zastanawiałem się nie tylko nad propozycją Forda, ale i nad możliwościami współpracy z innymi producentami samochodów wyścigowych w Europie. Współpraca z Fiatem witalnym z ogromną radością. Wówczas można by myśleć optymistycznie o wyścigu w 1967 roku, który z punktu widzenia techniki wyglądałby niezmiernie interesująco.

— Czy sprawy Ferrari'ego interesują czynniki rządowe?

— Rząd nie przejawia zbytniego zainteresowania sportem samochodowym. Może przychylna tkwi w tym, że to nie sport masowy, jak piłka czy kolarstwo.

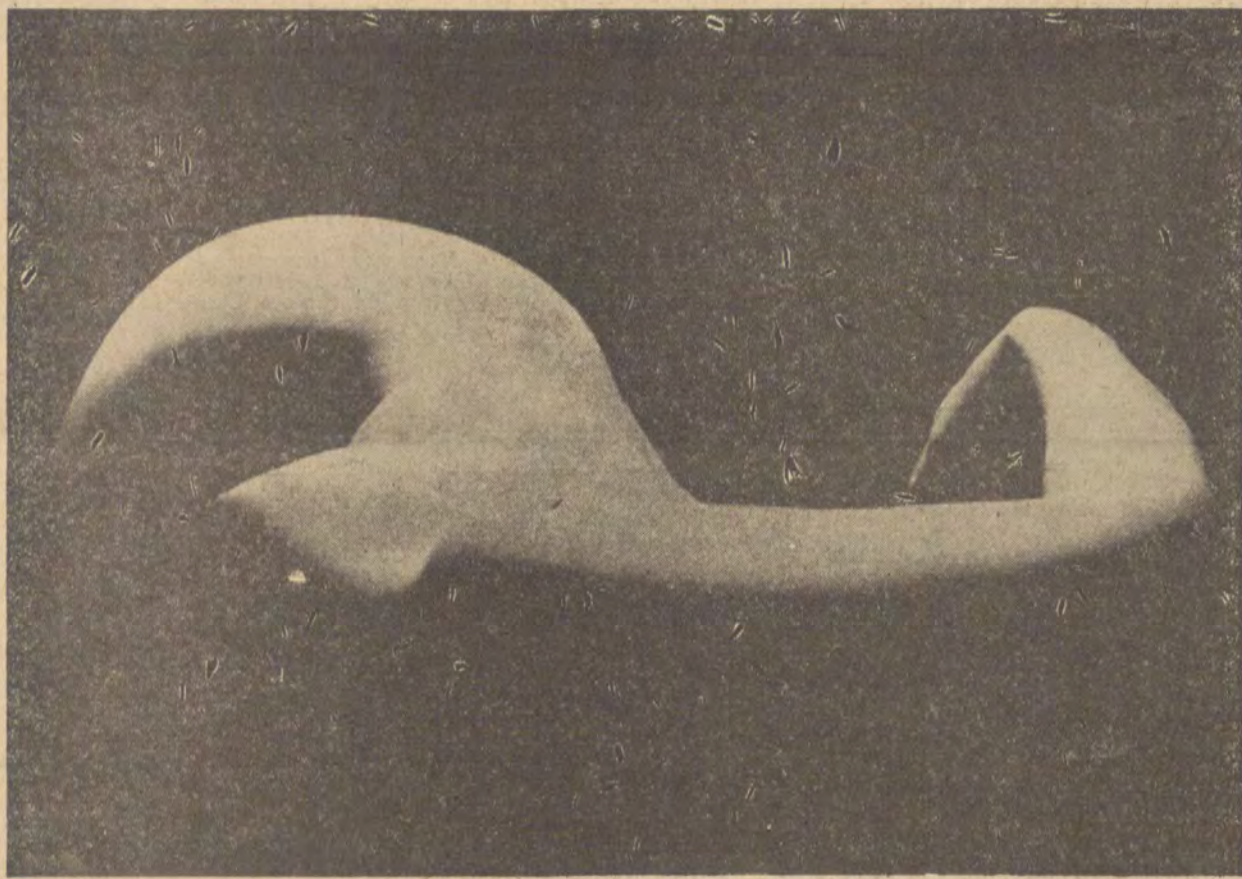
Mimo słów otuchy, napły wających z całego świata, Enzo Ferrari jest niepokojony. Myśląc o przyszłości nie kryje swych obaw.

— Chcąc uczestniczyć w wyścigach musimy pamiętać, że rozwój myśli twórczej wymaga warsztatu doświadczalnego — bez tego nie ma postępu.

— A jakie są pana osobiste plany?

— Jestem tylko rzemieślnikiem i chce nim pozostać. Pragnąłbym nadal produkować samochody wyścigowe współpracując z takimi jak ja zapaleńcami. I tym ludziom chcę przekazać całe moje doświadczenie, całą moją wiedzę, zdobytą nawet kosztem przegranej.

OPRAC. T. M.



AKT — Miroslav Štibor



Lewym okiem

WACUS, POWIEDZ STASZKOWI...

Cóż to za przyjemność, wszedłszy do jakiegoś niezbyt wielkiego biura czy urzędu znaleźć się od progu w atmosferze rodzinnego ciepła, wzajemnej sympatii i wyrozumiałości! Demokratyzacja stosunków międzyludzkich poszła w tego rodzaju piacówkach tak daleko, że nie odróżnisz kto szef, kto referent, kto sekretarka. — Wacus, wola ktoś do kogoś na nasz widok, powiedz Staszкови, że interesant do niego przyszedł!

Wacus odrzucił się od herbaty i żując beztrudnie bułkę z serem zniża za drzwiami. Po chwili zza tych drzwi wychyla się cud dziewczyna z rzesami jak stąd do mostu i nie kryjąc pewnego nieukontentowania pyta rzeczowo: — To pan do dyrektora? Może pana przyjmie, niech pan próbuje, tamte drzwi.

Za tamtymi drzwiami Wacus śmieje się głośno ze Staszkiem. Pukamy. Wchodzimy. Cud dziewczyna zostaje za nami ze szminką i lusterkiem w rękach.

Rozmowa ze Staszkiem pełna jest przerw, bo co chwila ktoś wchodzi. Chudy okularnik szuka jakiegoś dokumentu. — Nie zapomniał się przypadkiem u ciebie, wiesz, może wczoraj jakieśmy tu konferowali z Miciem?... Tęga blondyna podsuwa do podpisu ogromny arkusz, pełen cyfr. — Bądź łaskaw podpisać i mamy z głowy.

— Sprawdzalaś z Wacikiem? — pyta Staszek. — Tu nic takiego nie ma, a zaraz Hamia idzie do miasta to by doręczyła. I tak tego nikt nie będzie czytał, zresztą Kazik już parafował.

— Celniko — wola jeszcze Staszek za wychodzącą blondyną — Powiedz Musze żeby przyszedł zabrać te swoje kawalki. Nie mam czasu czytać, niech daje na maszynę.

Do końca naszej obecności w gabinecie Mucha jest chyba jedynym członkiem personelu, który się nie zjawia. Może właśnie dlatego, że go wezwano. Może Celinka zapomniała mu powtórzyć, powtarzanie nie należy do jej obowiązków. Nie do nikogo nie należy.

Przyjeżdżają przedstawiciele podległych placówek z terenu. Ogromna większość z nich to stali bywalcy. — Trzepnij mi tu stempel, mówią do sekretarki, podsuwając delegację, musiałem dziś przyjechać, sama rozumiesz...

Sekretarka wcale nie jest ciekawa. Co jej szkodzi trzepnąć stempelkę panu Zygmuntowi, pan Zygmunt zaraz sobie pójdzie i będzie zalałował swoję sprawę w kawiarniach czy gdzie indziej.

Przychodzą interesanci z innych biur i urzędów, tacy jak my. Latwo dają się przekonać, że błędem byłoby traktować urzędowe sprawy poważnie.

Samó referowanie sprawy dyrektorowi Staszкови przyprawia go o nie ukrywaną nudę. Tonem dobrej rady podsumowuje, nas krótko: — Ja wiem, was wydelegowali i kazali tak mówić, to tak mówcie. A my wasze wnioski przyjmujemy. No i gra. A czy będą realizowane to ja nie wiem, co się martwić? Niech się inni martwią!

Rzeczywiście, zrobiliśmy swoje przychodząc tutaj, a on — wysłuchując naszych wywodów. Tylko że obaj nie zrobiliśmy nic.

Pewnie jest jakaś uczona definicja klikki, nie raz już czytało się unikliwe i kapitalne uwagi dotyczące mechanizmu powstawania klikki. Ale w odczuciu powszechnym klikka to jest jakaś część jakiegoś większego organizmu, spojona ze sobą nieuchwytnymi i nieformalnymi więzami interesików i ambicji. Część całości, nowotwór drażący tę całość od wewnątrz. To są zjawiska znane w każdym środowisku. Czy można jednak nazwać klikką także całą instytucję, skumotrzoną, zblatowaną, zbrataną systemem zwykłych piąteczek braterszajców, rodzinę solidarną w odpychaniu od siebie wszystkiego, co może zamącić święty spokój i naruszyć absolutne bezpieczeństwo posiadak, pensyjek, herbatki i nagród za osiągnięcia?

To przecież nie klikka. To urząd czy biuro, do którego wchodząc, od razu odczuwa się atmosferę milego rodzinnego ciepła, sympatii, braku biurokratycznej sztywności, atmosferę prawdziwej równości, zwłaszcza towarzyskiej.

Aż przyjemnie w takim biurze nic nie zalałwili.

CWIEK